



# DZIŚ i JUTRO

W numerze: Szymon Dereń: *Bezdroża MRP*; Tadeusz Pajda: *Gdy padnie pierwszy strzał*; Jan Górski: *Ład sumienia*; Zbigniew Czajkowski: *Nie tylko „Kukuleczka” i Ścibor...*; Aleksander Rogalski: *Kariera zbankrutowanego dyplomaty*; Krystyna Mazowiecka: *Helenka*; Wiersze młodych; Konrad Eberhardt: *Sprawy jednej kamienicy*; Wacław Gluth-Nowowiejski: *Poznań muzyczny*; Jerzy Olkiewicz: *W królestwie ślepców jednoczy są królami.*

JÓZEF MAJKUT

## FAKTY-DOKUMENTY-SYMBOLY



salw niosły się również od strony zamku...

Tuż za dworcem padło na tor kilka pocisków. Gdzieś przy Alejach Racławickich rozpoczął się zjadły pojedynek broni pancernej... Linia kolejowa i szosa na Warszawę były już przecięte. Wśród znajdujących się jeszcze w mieście niedobitków Wehrmachtu — powstał nieopisany zamęt. Wszystko, co na nogach i na kołach zaczęło się wycofywać, tłoczyło na łeb na szyję w kierunku Bychawy i Kraśnika.

Na zamku jeszcze w czwartek 20 lipca było 3900 więźniów... Teraz pozostało przy życiu niespełna 500. Cały dziedziniec i sale zaścienione pomordowanymi. Tamci, co padli wczoraj i przedwczoraj, zeszywnieli już w strasznym, przedśmiertnym skurczu...

Straszny odór bucha z każdego kąta i straszliwy nieludzki płacz tych, którzy tu przyszli szukać swoich najbliższych, napędza ponury dziedziniec...

Kto to przeżył, wówczas w sobotę 22 lipca po południu, czy odwiedził ten dziedziniec, na drugi dzień w niedzielę, który był dniem wyzwolenia Lublina, ten już tej chwili nigdy nie zapomni...

MINIĘŁO DZIESIĘĆ LAT...

Od momentu dziesiątej rocznicy tamtych faktów mija już dziś 30-ty dzień. Przed pociągami, które wpadają umajone zielenią, rozśmiane, rozśpiewane na lubelski dworzec od strony Rejowca, Rozwadowa, Dębina, Lubartowa — raz po raz podnoszą się przyjaźnie zielone dłonie semaforów: droga wolna!

Dworzec wciąż wystrojony odświętnie wita przyjaźnie coraz to nowych i nowych gości. Radosny, barwny tłum chłopców, dziewcząt, statecznych gospodarzy i gospodyń — śpieszy z różnych miast, z różnych wsi Lubelszczyzny, z całej Polski — śpieszy wprost na zamek, na Centralną Wystawę Rolniczą.

Ci, co byli tu przed dziesięciu laty i serca ich rozdzierał rozpaczliwy krzyk, dziś po wyjściu z Bramy Grodzkiej stają oniemieli... Mielł jeszcze w pamięci obraz ruin, zgłiszcz, zasyki z drutów kolczastych, a oto jawi się nagle przed nimi rozległy szmat cudnej, soczystej zieleni, drzewka, krzewy, kwiaty, wśród których inienią się barwne domki, lśnią pawilony, powiewają na wietrze kolorowe flagi... Strojne figurami rzeźb, bogato zdobione schody, tarasy, wiadukty prowadzą do szeroko rozwartej, strojnej w biel i amaranty bramy Muzeum, bramy Domu Kultury.

Na lewo, przy kamiennych schodkach, tuż za balustradą, niby strojne dziewczęta, rozpuściły na wiatr długie włosy białe brzoźki, kilku i kilkunastoletnie sosny wajmutki, kępiaste lipy, niższe dęby Szerokimi, zdobnymi schodami można zejść na elipsowaty plac zamyka-

jący się z tamtej strony imponującą półkolistą budowlą, której tu chyba nie było... Tak, nie było na pewno, ale to niewątpliwie tutaj. Na tym dziedzińcu, może między te kamienie wsiąkła przed dziesięciu laty krew...

W oczach kręcą się łzy. Łzy wspomnień i głębokiego wzruszenia. Na twarzy występuje zaduma. Kroczą w milczeniu długimi salami tu i tam, czytają napisy

TAK BYŁO...

NEDZNA, zapadająca się w ziemię chała z porwaną przez wichry strzechą. Przed chałą wielki nieład i małe pachole w lnianej koszulinie wyjada kurom i prosięciu z korytka. Obiad widać niezbyt smaczny, bo kury i świnią patrzają zdumione i jakby dziwią się, że człowiek może to jeść, co im z trudnością przechodzi przez gardło...

Tak było rzeczywiście. Ja nie raz jadłem na progu z kurami. a chałupa nasza, w której się wychowałem, nie była lepsza od tej — mówi Józef Sobon z wsi Chomęciska pow. Zamość.

Tak było... Zmierzowana szkapina ciągnie drewniany pług. Przy czepigach nie mniej mizerny, bosi chłop, przepasany powrośtem, umęczony strasznie, ledwie trzyma się na nogach...

Taki pług po naszym ojcu jeszcze gdzieś tam leży pod szopą — mówi do swego sąsiada Bolesław Słoma ze wsi Majdan Sitaniecki gminy Stary Zamość.

Tak było... Tu przed pałacem na werandzie, tam w ślicznej ogrodowej altanie dobrze towarzystwo przy obfitym podwieczorku i przy kartach...

Jasiek, czyta!... „Hrabia Zamojski posiadał 191 tys. ha ziemi, a na chłopską duszę przypadało za-

ledwie 96 arów. Dwa i pół miliona rodzin chłopskich służyło u 15 tysięcy rodzin obszarnczych i 200 tysięcy rodzin kułackich”.

— A patrz tutaj... zdaniem hrabiego Stadnickiego „oświata odbiera ludowi jego szczerść, świeżość i bezpośredniość”.

Na 5500 rodzin chłopskich tylko jeden chłop zdobywał wyższe wykształcenie... „pracuje za 50 groszy dziennie od nocy do nocy, jeszcze długo mnie nie trzymają, żeby czasem na starość nie dawać utrzymania... dla mnie największym nieszczęściem jest brak pracy... inny jest tak pragnący czytania gazet, że gdy coś kupi w sklepie i zapakuje mu w starą gazetę, to nie rzuci jej, dopóki nie wyczyta wszystkiego, bo trudno sobie gazetę kupić...”

Tak było — ja pamiętam. Prosiłem w domu, żeby mi kupili ubranie, bo u nas odpust na Zielne, ale ojciec podrapał się w głowę i powiedział: synu, dziękuj Bogu, że i lachy na tobie wiszą...

Długo, długo można tak wędrować z ludźmi po dawnych celach wędziennych i salach tortur, zamienionych dziś na sale muzeum, zapelnionych historycznymi dokumentami, tragiczną wymową cyfr, autentyzmem wypowiedzi i ekspozycji...

Idę za zwiedzającymi słuchając ich ciekawych uwag i rozmów. Nie pada ani jedno słowo zaprzeczenia. Tak było — potwierdzają na każdym kroku ci, którzy sami to wszystko przeżyli, sami zdejmowali z ramion ojców, matek i ze swoich własnych haniebny ciężar nędzy i ciemnoty.

RADOŚĆ ŻYCIA

WYCIECZKA chłopów z Zamojszczyzny po obejrzeniu sal wystawowych w Zamku, poświęconych tematyce „Dziesięć lat Polski

Ludowej” — wychodzi znowu na zieloną skarpe, skąd rozległy widok na wieże kościołów starego Lublina, na nowe domy Podzamcza i cała teren wstawy...

Sierpniowa niedziela — dzień pogodny, słoneczny, przetykany wata białych chmur. Dołem, dokoła Zamku, wszystkimi przejściami płynnie, faluje wielobarwny tłum... Sto miast, miasteczek i tysięcy wsi przybyło tu dziś podziwiać, jak chłopcy z Zamojszczyzny, swój dziesięcioletni dorobek, owoce swej pracy i trudu, trudu chłopca i robotnika...

Co najpierw oglądać, skąd zacząć? Od strony szerokiego placu, na którym błyszczą w słońcu nowiułenkie auta i samochody ciężarowe, a dalej w dziesiątkach stóisk czekają najróżnorodniejsze towary, z których warto coś wybrać — czy też zejść najpierw do parku maszyn i narzędzi rolniczych? A może zacząć stamtąd, gdzie pawilony 16-tu województw — plony pracy najwybitniejszych mistrzów wysokich urodzajów?

Zacznijmy od urodzajów — pada propozycja. Potem obejrzymy maszyny, poletka, sad, las, hodowlę, a na ostatek kiemasz.

Idą do urodzajów. Pracowali przy nich cały rok, to ich najbardziej interesuje... Z zainstalowanych tu i tam głośników radiowych melodie kujawiaka nadają młodym krok tańeczny, falują barwnymi strojami kobiet i dziewcząt, niby rozkołysanym lanem zbóż — przechodząc po chwili w pieśń dożynkową.

„Płon niesiemy, plon, wszystkim ludziom w dom. Zeby nam się plonowało, po sto korcy z kopy dało...”

— Patrzcie, żyto z naszej spółdzielni tutaj na wystawie, jest podpis...

(Dokończenie na str. 7)

DALEKIE huki i przelotny, podniebny warkot nie zapowiadały nic groźnego. Na stacji w Kraśnymstawie tory co prawa były zatłoczone, ale bilety sprzedawano normalnie. Na tym jednak wszelka „normalność” się kończyła... Pociąg z Zamościa nadszedł ze znacznym opóźnieniem i dopiero o zmroku zaczął gramolić się dalej. Na rano zamiast do Warszawy — dobił za ledwie Rejowca.

— Patrzcie, patrzcie co się dzieje — krzyknął ktoś wskazując w kierunku czerwonej łuny zapowiadającej rychły wschód słońca.

Wszyscy rzucili się do okien... Tory w tym miejscu tworzyły prawie równoramienny trójkąt, którego wierzchołkiem była stacja w Rejowcu, a linia, po której jechaliśmy — podstawą. Całe pole trójkąta — to pole dojrzewającej, ale już niemilosierdzie stłamszonej pszenicy. Sto pięćdziesiąt, może dwieście metrów przed nami, trzy zamaskowane zbożem, ciemne plamy...

— Czolgi, czolgi — zawołało kilka głosów na raz. Powstał popłoch i zamęt. Nikt nie przypuszczał, że tak nagle znajdzie się na linii frontu i nikt nie wiedział o robie, choć „Tygrysy” nie oddały jeszcze ani jednego strzału. Przycupnięte nieruchomo z łufami skierowanymi w stronę stacji, trwały w zasadce.

Pociąg sunął jak żółw, co chwila przystawał, wreszcie jakoś wydołał się na linię chełmską i ruszył nieco zwawiej w kierunku Lublina. Był to ostatni pociąg z „generalnego gubernatorstwa” do Warszawy, któremu jednak nie dane już było dojść na miejsce przeznaczenia...

Ledwie nad Chełmem weszło słońce, nadleciały radzieckie my-

śliwce. Pisk, lament, wyskakiwanie do rowu... Ale o dziwo — z samolotu nie padł ani jeden strzał. Dopiero za drugim, czy trzecim patrolowaniem, gdzieś około godziny dziesiątej, kilkaset metrów przed lokomotywą spadła przy torze bomba... Po dwóch godzinach tor podsypano i pociąg choć nie bez przeszkód, pchał się powoli dalej, ale dopiero po południu dobrnął na przedmieście Lublina.

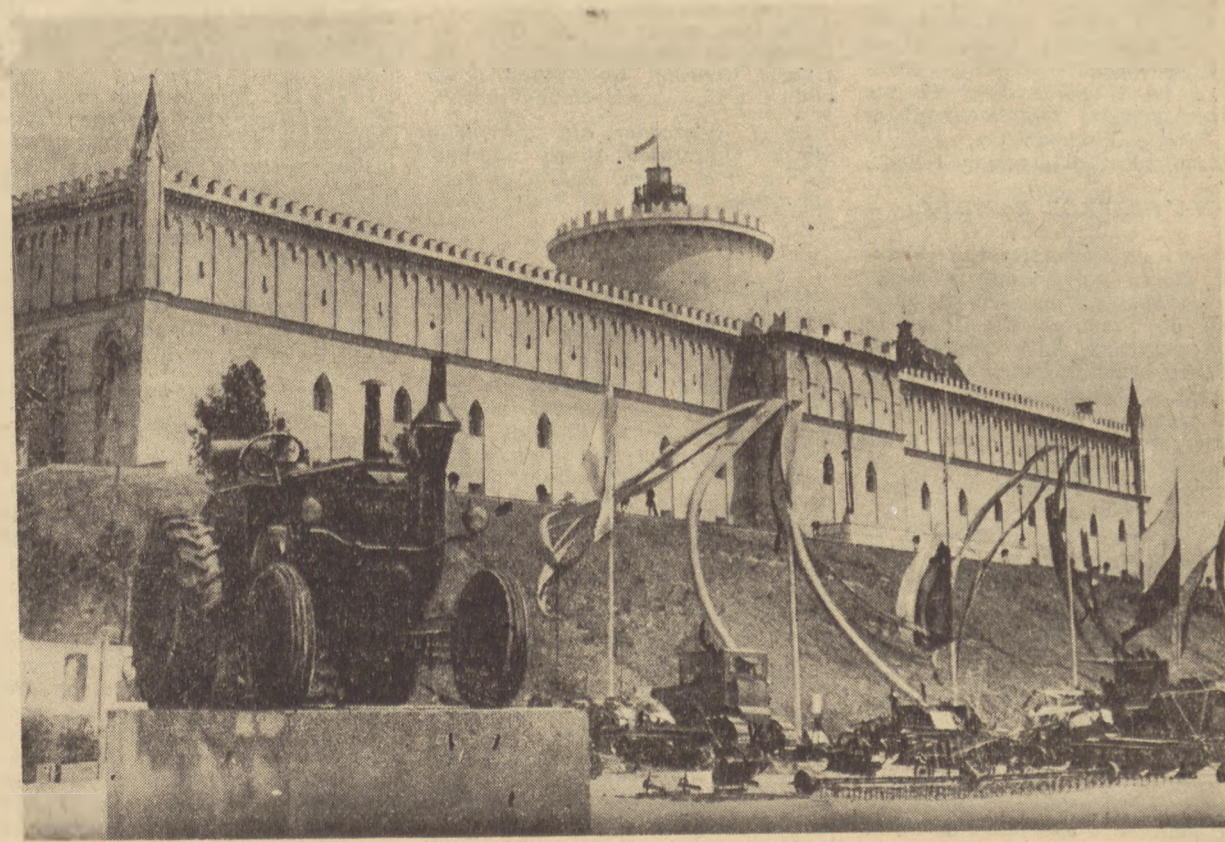
ZAKOŃCZENIE

NA wszystkich torach, jeden przy drugim pełno lokomotyw, wagonów — Czerwony Krzyż i obrotna przeciwlotnicza tuż obok siebie. Gdy ponownie nadleciała radziecka eskadra, dwóch żołnierzy niemieckich zaczęło strzelać do samolotów, ale robili to raczej z przyzwyczajenia niż z przekonania o skuteczności tej obrony. Inni, rozebrani do kąpielówek, myli się wodą z mianierką, jakby nigdy nic... Jeszcze inni mając przed sobą kilka skrzynek z napisem „Lubelska Fabryka Wódek Gatunkowych”, która w tej chwili stała dla wszystkich otworem — zajęci byli próbą smakowania zawartości poszczególnych butelek.

— Für unsere neue Waffe! — wznosił toast jeden będący już w dobrym humorze.

— Glaubst du, der alten Affe? — zawtórował mu koledy śmiechem, podnosząc polowe kubki do ust. Tak zegnali swój ostatni dzień pobytu na froncie...

Zadna lokomotywa już stąd nie ruszyła. Ludzie szli ku miastu na piechotę. Na Majdanku szalał pożar i raz po raz terkotały karabiny maszynowe, Odgłosy morderczych





## Przed wielką próbą

Jeśli Francja powie „nie” — nie będzie można uzbroidć odwetowców niemieckich. Z tego oczywistego faktu doskonale zdają sobie sprawę nie tylko politycy Bonn, ale również Departamentu Stanu. Nic więc dziwnego, że z taką zawziętością występują oni przeciwko tym wszystkim, którzy wskazują na układ o „europejskiej wspólnocie obronnej”, jako na istotne zagrożenie bezpieczeństwa Francji, zagrożenie pokojowej współpracy między narodami.

Był czas, kiedy usiłowano wszystkich przeciwników „armii europejskiej” — nawet takich, jak gen. Koening czy Jacques Chaban-Delmas — przedstawić jako zakonspiratorów komunistów, a co najmniej jako zwolenników demokracji ludowej. Lecz trudno było o tym przekonać opinię publiczną, która — zwłaszcza po oczywistych faktach Konferencji Geneńskiej — coraz bardziej przestaje wierzyć w kolportowaną przez pewne koła teorię o „czerwonym niebezpieczeństwie”.

Stosując najrozmaitsze formy nacisku i wywierania presji na rząd Mendès-France'a — nie zaniedbano też użyć straszcaka o rzekomej „izolacji Francji”, któremu w zapale ratowania zagrożonej „wspólnoty” politycy amerykańscy usiłowali nadać cechy prawdopodobieństwa.

Zwolennicy Laniela rozpowszechniają w Stanach Zjednoczonych jak najgorsze opinie o obecnym rządzie francuskim, a Waszyngton, którego niepokój z tego powodu ciągle wzrasta, staje się tym bardziej zawzięty, mnożąc presje a nawet pogroźki. Z kolei znowu lanieliści czynią z nich argument wobec własnej opinii publicznej, głosząc „niebezpieczeństwo izolacji”, które może wyniknąć z odmowy ratyfikacji układu o EVG i z ewentualnego — w takim wypadku — „paktu trzech” (USA — Wielka Brytania — Niemcy zachodnie).

Alle projekt takiego paktu jest czystą fikcją, jest niczym innym jak tylko jeszcze jedną formą szantażu wobec Francji. Jego realizacja oznaczałaby zerwanie zawartego w roku 1947 na okres pięćdziesięciu lat anglo - francuskiego traktatu, którego celem jest „przekształcenie Niemcom, by na nowo stały się groźne dla pokoju”. Traktat ten przewiduje wspólną akcję „celem uniemożliwienia Niemcom sprzeniewierzenia się zobowiązaniom dotyczącym rozbrojenia i demilitaryzacji”. Te wyraźne przepisy krepują ewentualny udział Wielkiej Brytanii w uzbrojeniu Niemiec bez zgody Francji. Ponadto również ustalony „pakt północno - atlantycki” (tego nie przewidzieli jego autorzy) daje Francji prawo weta przeciwko jakiegokolwiek propozycji udziału w nim Niemiec. Tak więc uzbrojenie Niemiec nie jest możliwym bez zgody Francji. Dobrze o tym wiedzą w Bonn, w Londynie i Waszyngtonie, i stąd ten cały huczek, jaki towarzyszy zbliżającej się debacie w Zgromadzeniu Narodowym; ma on na celu zastraszenie parlamentu francuskiego.

Francja jednak, ta Francja, która co roku idzie w lipcowym pochodzie z wypisywanymi na transparentach hasłami równości, braterstwa i pokoju — od-

stawia zgodę na remilitaryzację Niemiec zachodnich.

\*

„Francja nie była sprzymierzoną, lecz protegowaną — pisal w ubiegłym miesiącu paryski „Le Monde”. — Rozgłośna biaga coraz słabiej ostania o- puszczenie, służalczostka, żebrani- nę. Znanie jest przysłówie: „gdy kobieta mówi „nie” — oznacza to „być może”, gdy mówi „być może” — znaczy to „tak”, gdy zaś mówi „tak” — nie jest ona daną. Kiedy Francja mówiła „nie” — oznaczalo to „tak”, a kiedy mówiła „tak” — to nic nie oznaczalo, gdyż chaos w jej rzą- dach nie pozwalał na dotrzyma- nie obietnic. Obecnie coś powoli się zmienia. Teraz, gdy powie ona „tak” — zobowiązania jej będą respektowane, a gdy powie „nie” — trzeba się będzie liczyć z tym „nie” — trzeba będzie droga dyskusji uzgodnić z nią różnicę zapatrywań, nie zaś lekceważyć jej stanowisko. Ze ten stan rzeczy zdziwi naszych sprzymierzeńców — jest zrozumia- le: jest on tak nowy. Ze ich niepokoi — to da się wytłuma- czyć kampanią oszczerca, do której przyłączyli się niektórzy Francuzi, gdyż pozbawienie władzy sprawa im takie cierpienia jak narkomanowi brak narko- tyku. Ze Ameryka usiłuje przeci- wstawić się nowemu stanowi rzeczy i przywołać nas do posthi- szeństwa — to jest ludzkie, cho- ciaz niezreczne.”

Tak pisal w „Le Monde” Mau- rrice Duverger wtedy, kiedy pre- mier Mendès-France — zgodnie z wolą milionów Francuzów — dążył w Genewie do zakończenia nieoprotnej „brudnej wojny” w Wietnamie. I tak rozumowali wszyscy patriotycznie nastawie- ni Francuzi uważając nową poli- tykę rządu za nawrót ku poli- tyce interesów narodowych.

Ostatnio — niestety — coś się zmienia. Pan Mendès - France, który w Genewie niewątpliwie zdobył sobie pewien autorytet i zaufanie społeczeństwa, zapo- wiada obecnie nowe, „kompromisowe” rozwiązanie sprawy u-kładu o „europejskiej wspólnocie obronnej”. Jego ostatnie oświadczenie — w związku ze zbli- żającą się debatą 28 sierpnia — zapowiada, że w końcu debaty postawi on w parlamencie kwe- stię zaufania. Wskazuje to na niebezpieczny fakt, że rząd Men- dè's-France'a zamierza doprowadzić do ratyfikacji układów, a więc zaakceptować uzbrojenie od- wetowców niemieckich.

Stanowisko takie budzi wśród Francuzów poważne zaniepokoi- enie. Dowodem tego są coraz liczniejsze manifestacje spole- czeństwa, którym przewodzą dzia- łacze polityczni różnych ugrupowa- ń. Ten narastający nieustannie opór narodu francuskiego, który widzi niebezpieczeństwo wynikające ze uskrzeszenia Wehr- machtu, jest poważnym ostrzeżen- iem dla obecnego premiera.

I z tym potężnym „nie” Men- dè's-France musi się liczyć, jeśli chce być premierem rządu re- prezentującego interesy narodu. A tego „nie” jak uczyć doświad- czenia poprzedników obecnego premiera Francji — nie można bagatelizować.

GRZEGORZ CZEKAJEO

Ważną rolę w polityce Francji odgrywa partia MRP (Mouvement Republicain Populaire, Ruch Republikańsko - Ludowy), pod którą to nazwą ukrywa się stronnictwo pretendujące do politycznego reprezentowania katolików francuskich. Powstanie jej datuje się od ciężkich lat okupacji hitlerowskiej, ale źródła sięgają okresu międzywojennego.

Przed drugą wojną światową stronnictwo mieszczańskie we Fran- cji nie poświęcały na ogół więk- szej uwagi akcji propagandowo-or- ganizacyjnej wśród młodzieży. Po- za partią komunistyczną, tylko „Akcja katolicka” rozwijająca się wówczas na szerszą skalę, pod pa- tronatem kleru, sięgnęła do pracy wychowawczej wśród młodego po- kolenia. Powołała ona do życia cztery masowe organizacje młodzie- ży szkolnej i studenckiej oraz mło- dzieży robotniczej i wiejskiej, szer- zące światopogląd katolicki. Nie miały one jednak nadbudowy w postaci działającego w całym kra- ju stronnictwa politycznego.

Istniało co prawda parę ugrupo- wań stojących na stanowisku chre- ścijańskiej demokracji, ale Fran- cja nie wytworzyła wielkiej partii katolickiej na wzór stronnictw od- grywających wówczas rolę rolę między innymi w Niemczech, Belgii, a częściowo we Włoszech i Hi- szpanii. Takim ogniskiem myśli ka- tolickiej była redakcja gazety „Aube”, kierowana przez znanego dzia- łacza społecznego Franciszka Ga- y'a, oraz parousobowy klub parla- mentarny pod nazwą Chrześcijań- sko - społeczny. Wchodzący na a- renę życia politycznego pupile mło- dzieżowych organizacji Akcji Ka- tolickiej kierowali się zwykle do poszczególnych partii nacjonalistycz- nych i częściowo faszystowskich. Występowały one przy wyborach pod zbiorową nazwą Bloku Naro- dowego i prowadziły walkę kon- kurencyjną z odgrywającą wów- czas czołową rolę w parlamencie partią radykalno - socjalistyczną, która posługiwała się frazeologią antyklerykalną i była ściśle powią- zana z masonerią.

Podczas okupacji członkowie chłopskich i robotniczych organiza- cji młodzieżowych Akcji Katolickiej zrozumieli, jak zgubne było pchanie ich do pomagania polity- kom pravicowym, którzy w swej większości zdradzili interesy naro- dowego kraju występując się hitle- rowcom, toteż masowo stanęli w szeregach Ruchu Oporu. W tej sy- tuacji dominikanowie francuscy, re- prezentujący postępową myśl kato- licką tego kraju, podjęli inicjatywę stworzenia masowej partii ka- tolickiej, która by wypisała na swych sztandarach hasła reform społecznych i obrony interesów na- rodowych Francji w przeciwień- stwie do stanowiska wyższego du- chowienstwa zaangażowanego w poli- tykę popierania kolaboracyjno- styckiego reżimu Pétain'a. Domini- kanie czerpali natchnienie z koncepcji działacza włoskiego, Don Sturzo, który w ostrej opozycji

do kierowniczych kół Watykanu głosił na początku bieżącego wieku konieczność oparcia katolicyzmu na szerokich masach ludowych, młó- dzy innymi w drodze tworzenia partii katolickich broniących intere- sów wyzyskiwanych. Akcja do- minikanów francuskich pokrywała się z pragnieniami i dążeniami młodych działaczy katolickich Ru- chu Oporu, dając w rezultacie po- wstanie stronnictwa MRP, które w swej początkowej fazie kładło nacisk na charakter nie tyle ka- tolicki, ile ogólnochrześcijański, czego wynikiem było przystąpienie do niego wielu ewangelików.

Przewaga elementów postępo- wych w MRP za czasów okupacji hitlerowskiej umożliwiła współpra- cę jego z komunistami i socjalista- mi w ramach Rady Generalnej Ru- chu Oporu oraz wspólne opracowa- nie przyszłego programu dla rzą- dów wyzwolonej Francji. Program ten w dziedzinie polityki wewnę- trznej postulował szerokie reformy społeczne, a w dziedzinie poli- tyki zagranicznej stawiał na pierw- szym miejscu walkę z faszyzmem w ścisłej współpracy ze Związkiem Radzieckim i z tzw. demokracjami zachodnimi. W momencie wyzwolenia — na czele Rady Generalnej Ruchu Oporu stał przedstawiciel MRP, młody przedwojenny dzien- nikarz „Aube”, Georges Bidault.

MRP wzięło udział w pierw- szych ogólnokrajowych rządach francuskich, które miały realizo- wać program Ruchu Oporu. Gdy przewodniczący tego rządu, gen. de Gaulle, zaczął przy okazji uchwa- laniania nowej konstytucji zdradzać tendencje dyktatorsko - faszystow- skie, MRP przyczyniło się wraz z innymi partiami lewicowymi do jego usunięcia. W odbytych w latach 1945 — 1946 trzech kolejnych wy- borach do Zgromadzenia Narodowe- go — w związku z uchwaleniem i wprowadzaniem w życie nowej, bardziej demokratycznej konstytu- cji — MRP występowało stale z programem opartym na zasadach ustalonych podczas wojny w Radzie Generalnej Ruchu Oporu. W wybo- rach tych stare partie mieszczań- skie, skompromitowane w okresie przedwojennym i w latach okupa- cji, nie brały udziału, względnie nie odegrały żadnej roli, więc stop- niowo wszystkie elementy reakcyj- ne kraju zaczęły oddawać swe głosy na listy MRP, aby nie dopuścić do pełnego zwycięstwa ugrupowań lewicowych. W ten sposób MRP stało się w roku 1946 najsil- niejszą partią masową w terenie i w parlamencie, partią bez której udziału nie mógł istnieć żaden rząd.

Szeroki napływ elementów reak- cyjnych odbił się natychmiast na obliczu ideowym MRP, chociaż po stworzeniu faszystowskiej partii gaul- listowskiej elementy te odplynęły do niej, w wyniku czego od roku 1948 MRP stopniowo straciło po- łowę głosów i mandatów. Pozostało jednak nadal językiem w wagi w parlamencie, ewoluując coraz bar- dziej na prawo. Na proces ten od- działał jeszcze jeden ważki czynnik.

Początkowo episkopat francuski, związany tradycyjnie z kołami ary- stokratyczno - monarchistycznymi i z ugrupowaniami pravicowymi po- traktował wręcz wrogo powstanie partii katolickiej o programie po- stępowym a znalazł w tym zachę- ze strony reprezentującej stanowi- sko kół watykańskich nuncjatury paryskiej. Z biegiem czasu jednak sukcesy MRP w terenie, jego pierw- szoplanowa rola w rządach i kry- stalizowanie się w nim wyraźnie re- akcyjnego skrzydła, skłoniły episko- pat do zmiany swej dotychczas ne- gatywnej taktyki.

Powoli doszło do porozumienia między episkopatem i nuncjaturą z jednej strony, a reakcyjnym kie- rownictwem MRP z Georges Bi- dault na czele z drugiej strony. Platformą porozumienia stało się przejście MRP na stanowisko skraj- nie reakcyjne, wycofywanie się z programu reform społecznych, na- danie partii charakteru wyłącznie katolickiego.

To radykalne przestawienie się musiało być jednak maskowane na zewnątrz ze względu na konieczność liczenia się z nastrojami szerokich kół katolickich we Francji. Już po- przednio parlamentarna representa- cja MRP wypłaciła się swym pra- wicowym wyborcom przyczyniając się z socjalistami Bluma do wyli- minowania z koalicji rządowej partii komunistycznej. Następnie pod- chwyciła ona oszukańczą formułę Bluma „trzeciej sily”, która głosi- ła na zewnątrz walkę zarówno z komunistami, jak i faszyzmem gaullistowskim. W rzeczywistości MRP budowało zakulisowo most dla porozumienia się z gaullistami i dla otwarcia im drogi do rządu, gdzie mieli zastąpić pravicowych socja- listów, zmuszonych stratą wpływo- w masach do większego akcentowa- nia obłudnych hasel antyfaszystow- skich.

To stanowisko kierownictwa MRP ujawniło się już wyraźnie w wybo- rach parlamentarnych z czerwca 1951 roku, kiedy partia ta poparła forsowaną przez pravicę reakcyj- ną ordynację wyborczą i wysunęła w wielu okręgach wspólne listy z gaullistami, aby nie dopuścić do wyboru komunisty. Od tego czasu klub parlamentarny MRP stale do- magał się wciągnięcia gaullistów do udziału w rządzie i wreszcie, wy- korzystując formalne rozwiązanie przez de Gaulle'a swej partii, osią- gnięła to w gabinecie Laniela. Jest rzeczą charakterystyczną, że przy paru tegorocznych wyborach uzu- pełniających na miejsce zmarłych deputowanych gaullistowskich — mandaty te, za całą zgodą kół gaullistowskich, które wiedziały, że nie mogą liczyć na przeforsowanie swych ludzi, przeszły właśnie do MRP. Poza tym zakaz działalności księży robotników i represje, które spadły na dominikanów francus- kich, były pośrednio konsekwencją reakcyjnego charakteru ideologicz- nego MRP.

Równoległe z tym kierownictwo MRP, które przez wiele lat rezer-

wowało sobie w kolejnych rządach stanowisko ministra spraw zagra- nicznych, w osobie bądź Roberta Schumana, bądź Bidault, pchało zdecydowanie Francję w objęcia „polityki amerykańskiej”. Wystar- czyło powiedzieć, że słynny plan zje- dnoczenia węgla niemieckiego i ru- dy francuskiej, podporządkowujący gospodarce francuską monopolistom z Ruhry, nosi nazwisko jednego z leaderów MRP — Schumana oraz że MRP jest do dziś dnia jedyną partią francuską walczącą bez za- strzeżeń o ratyfikację zgbunz dla interesów narodowych kraju umo- wy paryskiej, przesadzającej o prze- wadze militarystów niemieckich w „armii europejskiej”.

Na ostatniej konferencji gene- wskiej — będący wówczas ministrem spraw zagranicznych przywódca MRP Bidault szedł bez zastrzeżeń po linii amerykańskiego Departamentu Stanu utrudniając pokojowe rozwiązanie problemu Indochin i prosząc jednocześnie rząd Stanów Zjednoczonych o wysłanie swych wojsk dla rozszerzenia tzw. brudnej wojny kolonialnej. Ta jego polity- ka tak oburzyła społeczeństwo fran- cuskie, że nawet duża część dotych- czasowej pravicowej koalicji rządowej głosowała w parlamencie prze- ciwko gabinetowi Laniela. Gdy Mendès-France ubiegał się o inwe- styturę na podstawie programu do- prowadzenia do zawieszenia broni w Indochinach, kierownictwo MRP wystąpiło gwałtownie przeciwko niemu, nazywając jego program, zgodnie z głosami prasy amerykań- skiej, „skandaliczną kapitulacją”. Tylko konieczność liczenia się z do- łami partyjnymi, które bynajmniej nie są zachwycone jawnym wystu- giwaniem się imperialistom amery-kańskim, zmusiła klub parlamentarny MRP do wyrażenia negatywne- go stanowiska wobec rządu Men- dè's-France'a nie w formie głosowa- nia przeciwko niemu, lecz przez po- wstrzymanie się od głosowania. Po- raz pierwszy w dziejach powojen- nych MRP nie wzięło oficjalnego udziału w tym rządzie.

Należy z całym naciskiem zazna- czyć, że kierownictwo MRP nie od- zwierciadla nastrojów szarych człon- ków tego stronnictwa, tak jak par- tia ta nie reprezentuje prawdziwej myśli katolickiej Francji. Jest rzec- zą znamionną, że każdemu kroko- wi kierownictwa MRP w kierunku reakcji i popierania polityki amery-kańskiej towarzyszyły protesty, ses- cesje lub usunięcia „za nieprze- strzeganie dyscypliny partyjnej” deputowanych związanych z teren- nem, przy czym wyborcy manife- stowali zwykle poparcie dla stano- wiska zajmowanego przez swych wybranych.

Przypomnijmy przykładowo wy- dalenie z partii deputowanego De- nisa, który — podczas wizyty par- lamentarnej w Polsce na wiosnę te- go roku — wypowiedział się sta- nowczo przeciwko remilitaryzacji Niemiec zachodnich i za współpra- cą z krajami obozu demokratyczne- go. Podczas głosowania nad inwe- styturą dla Mendès-France'a dzie- licę deputowanych MRP zlamalo solidarność klubową i poparło pro- gram nowego premiera. Dwóch naj- wybitniejszych z nich zgodziło się nawet wejść, z tytułu indywidual- nego, do tego rządu:

Buron objął tekę Francji zamor- skiej, a Monteil — marynarki.

Obdyta niedawno sesja Komitetu Krajowego MRP (który grupa Bi- dault obsadziła przez swoich ludzi) podpła deputowanych biorących udział w rządzie i usunęła ich z par- ti. Represja ta nie powstrzymała dalszych 10 deputowanych od głosowania za rządem, wbrew sta- nowisku klubu, przy okazji debaty nad zatwierdzeniem zawieszenia broni w Indochinach. Deputowani ci wiedzieli, że stanowisko ich ma poparcie terenowych organizacji ka- tolickich, które reprezentują w Zgromadzeniu Narodowym.

Dzięki polityce Bidault i towa- rzyszów, MRP zaślubiła sobie dziś na smutną sławę „partii amerykań- skiej”. Przy systemie wyborów par- lamentarnych raz tylko na pięć lat, kierownictwo klubu parlamentarne- go MRP może sobie pozwolić na prowadzenie polityki sprzecznej z pragnieniami i nastawieniami szer- okich mas wyborców katolickich. Jednakże już dziś postępową prasę katolicką Francji odzęgkuje się sta- nowczo od kierownictwa MRP i podkreśla, że — jedyną drogą dla ka- tolików francuskich, jest otwarte popieranie sił pokoju i demokra- cji.

## TADEUSZ PAJDA

## GDY PADNIE PIERWSZY STRZAŁ — BĘDZIE ZA PÓŻNO

Było to 20-go lipca 1954 roku — dokładnie w czterech lat po nieudanym puczu i zamachu na Hitl- era. Wczesnym rankiem tego dnia nieliczni jeszcze o tej porze prze- chodnie zauważyli nowoczesny sa- mochód kierujący się z wolna ku demokratycznemu sektorowi Ber- lina. Z daleka, w perspektywie lśniącej poranną rosą asfaltowej nawierzchni widać było niedzyse- ktorowe posterunki kontrolne. — Nagle samochód związkzył szyb- kość i po chwili zniknął za zakre- tem pokrytej ruskimi ulicy Berlina Wschodniego.

Był to początek „sprawy Johna”.

## NA PRZEKÓR FAKTOM

Istnieje na Zachodzie typ polity- ków, którzy nie wierzą w fakty. Tak też było po przejściu dr Otto Johna do Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Natychmiast po jego pierwszym oświadczeniu usłu- żna prasa reżimowa podawała w ka- zdym wydaniu swoich gazet inną wersję „porwania dr Johna przez komunistów”, rząd Adenauera wysto- wał nawet do Wysokich Komisarzy mocarstw zachodnich oficjalną no- tę donagającą się interwencji w celu „wydania porwanego prezden- ta Urzędu Ochrony Konstytucji”, a sam boński minister spraw we- wnętrzych, Schroeder, przyrzekł pięćset tysięcy marek nagrody temu, kto pierwszy wyjaśni tajemni- cę wypadku zjecha zachodnio- nie- mieckiego wywiadu.

Tę publiczną tajemnicę, znaną już wszystkim rozsądnym ludziom na świecie, wyjaśnił ministrowi Schroederowi wschodnio-berliński „Berliner Zeitung” przewijając pa-

stępując rozwiązanie „zagadki Johna” potwierdzone przez samego „porwanego”:

„Dr John udał się do demokra- tycznego sektora Berlina samocho- dem w dniu 20 lipca br. Powodem tego kroku był fakt, że podnoszą- cych głowę hitlerowcy obrzucali go błotem, a w końcu minister Schroe- der oznajmił mu, iż właśnie ci hitlerowcy, a nie on, dr John, są pożądanymi pracownikami w Urzędzie Ochrony Konstytucji i na innych wpływowych stanowiskach”.

Lecz Schroeder nie dotrzymał słowa. Oglaszając swoją nagrodę nie o t a k i m myślał on roz- wiązaniami...

## KOMPROMITACJE

Decyzja dr Johna uważana jest na Zachodzie za największą sensa- cję polityczną ostatnich lat. Nic więc dziwnego, że wywołała ona tak niebywałą konsternację nie ty- lko w Bonn, ale również w De- partamencie Stanu. Przecież Otto John był od roku 1950 prezydentem bońskiej policji politycznej, utrzy- mywał osobiste kontakty z czoło- wymi politykami Zachodu, a nie- dawno bawił nawet w USA, gdzie często i długo konferował z Allanem Dullesem — szefem amerykańskie- go wywiadu. John d u z o w i e, co będzie jeśli John zacznie m ó w i ć? Zachodnio-niemieckie politycy usiłowali pozorować spokój. „Der Tag” pisał nawet: „tyl- ko jedno mogłoby wyrzuczyć na sw uratowanie, mianowicie gdyby John swobodnie wypowiedział się na konferencji prasowej z udziałem dziennikarzy międzynarodowych. Ale trudno to u uwierzyć...”

W tuszowaniu „sprawy Johna” brała udział również prasa ame- rykańska, nierozdawk posuwając się w swych rewelacjach wręcz do ab- surdu. 11 bm. — dziennikarz ame- rykański — Childs — pisał, że „John popełnił samobójstwo, po- nieważ nie chciał uczestniczyć w konferencji prasowej z udziałem dziennikarzy zachodnich”, wobec czego Waszyngton nie powinien już obawiać się jakiegokolwiek kłopotu.

I oto w tym samym dniu dr John występuje w Berlinie demokra- tycznym na konferencji prasowej, wobec przeszło 350 dziennikarzy całego świata, składając oświadc- czenie odstawiające kulisy anty- pokojowej, antynarodowej polityki rządu bońskiej republiki federal- nej, rządu coraz bardziej opanowy- wanego przez hitlerowców. — „Gdy padnie pierwszy strzał — mówi dr John — będzie za późno”.

## CZY TAK WYGLĄDA PORWANY CZŁOWIEK?

W te przedziwne mistyfikacje rządu bońskiego nie wierzy już żaden rozsądny człowiek. Opinią publiczną świata należyście oceniła decyzja doktora Otto Johna, decydu- jąca zgodnie z przekonaniem... obywatela i patriotę.

John jest politykiem galekim od przekonań lewicowych. Sam zresz- tą przyznaje, że posiada „w zasadzie poglądy liberalne” i czuje się związ- any z uczciwymi ludźmi z zachod- nio-niemieckiej Wolnej Partii De- mokratycznej (FDP). W swojej dzia- łalności politycznej John zawsze kierował się dobrem ogółu, intere- sem własnego narodu, Taka właś- nie

postawa skłoniła go do udziału w spisku antyhitlerowskim, i tymi sa- mymi poglądami kierował się on wtedy, kiedy obejmował prezydenturę Urzędu Ochrony Konstytucji w republice związkowej.

Jednak fakt, że w Niemczech za- chodnich coraz bardziej dochodzą do głosu ludzie odpowiedzialni za ustanowienie w Niemczech terroru hitlerowskiego, ludzie, których ni- czego nie nauczyła historia minio- nych lat — ten fakt skłonił Johna do rzucenia całego swojego au- torytetu politycznego tam, gdzie wymaga tego dobro narodu nie- mieckiego oraz szeroko pojęta sprawa bezpieczeństwa między na- rodami. „Rozpoczynanie tej walki poza granicami Niemiec nie miało- by sensu — odpowiedział dr John na pytanie przedstawiciela mona- chijskiej „Abendzeitung”. Jestem również przekonany, że w republice związkowej nie mógłbym w takim wypadku zajmować się działalno- ścią polityczną, gdyż mogłoby mnie aresztować w każdej chwili”.

Dlatego też decyzje dra Johna szerokie rzesze społeczeństwa nie- mieckiego oceniają jako jedynie słuszną i odrzucają wszelkie niewy- bredne insynuacje rzucane na nie- go przez polityków bońskich usi- łujących zbagatelizować jego ostat- nie oświadczenie. — Poczytny dzien- nik norymberski „Nürnberger Nach- richten” reprodukuje zdjęcie Johna pijącego na tarasie berlińskiej „Café Warszawa” kawę w towarzy- stwie prof. Corrensa i dra Girnusa zapytując troniecznie: „Czy tak wy- gląda norwani człowiek?”.



# Ł A D S U M I E N I A

## CZTERDZIEŚCI ATMOSFER

Ktoś powiedział, bodaj Wacław Berent, o Fryderyku Nietzsche (gdy ten był w modzie), że musiał on wytrzymać ciśnienie czterdziestu atmosfer mieszczniańskiej kultury niemieckiej i protestantyzmu. Jeżeli spojrzymy na „manometr”, czytając poezje Mieczysława Jastruna, to wskaźnik liczbowy ciśnienia pewnego typu kultury okazuje się nie mniejszy a wrażliwość odbiorcza ogromna. Każdy wiersz tego poety wzięty w przekroju ujawnia bogate złoża głęboko osadzonej kultury artystycznej, moralnej, społecznej. Wydobycie tych zasobów oraz gospodarka nimi są najzupełniej świadome i planowe. Jastrun — to twórca przeczony. Ogląda się w przeszłość i o-blicza przyszłość. W jego wierszach władza optyka historyczna: poszukiwanie ciągłości w przepływie zjawisk. Jakże znamienne są pod tym względem jego komentarze historyczne do faktów współczesnych. Taki na przykład *Sen nocy zimowej* z *Godziny strzeżonej*, z tego zbiorku, który ukazał się w Lublinie 1944 r. i był jedną z pierwszych jaskółek naszej poezji powojennej. Poeta rejestrował tutaj na gorąco, niemal od ręki nieludzkie okrucieństwo czasów okupacji. Otóż w o-wym niejako reportażu ani odrobiny reportażowości, ani pozorów zgęszczenia treści do samych faktów — obrazów, ani okrucza reporterskiego lakonizmu. Odczytuje się natomiast cała orkiestra skojarzeń: Łazienki w listopadzie 1830 r., Rokoko króla Stanisława, bal u Senatora w *Dziadach* drezdeńskich i coś jeszcze z głębszych przypomnień — trubadur Walther von der Vogelweide. Dopiero w takim zespole ukazane są dantejskie wizje okupacyjne.

I znów rozżarzone niebo  
 płomieniem z murów zmywa cień.  
 Drzwi wyważone. W białą sień  
 podchorążowie biegają.

Odcycha w śniegu pierwszym różem  
 brząsku  
 śnów letnich pałac króla Stanisława,  
 Uwielbiony przez zime, na wron dzikim  
 wrzasku

Widzący — kolumnowa zjawia.

\* Kształtowanie obrazów poetyckich to nie jest sprawa dowolna. To nieuchronna konsekwencja typu wyobraźni. U Jastruna — wyobraźni niezwykle pobudliwej na skojarzenia i stale utrzymywanej pod ciśnieniem... czterdziestu atmosfer dziedzictwa kulturalnego. Tak zresztą dotychczas pisano o Jastrunie: twórczość intelektualizowana, wielkie obycie literackie, wytrwała poetyka. Wśród tych sformułowań nic by nie było wyższym intruzem niż aforyzm Tuwima o poezji jako o „skoku barbarzyńcy, który ujrzał... świat od nowa, na przekór wszelkim tradycjom”.

Czyżby więc kwestionowanie oryginalności? Stanowczo — nie, gdyż oryginalność — to między innymi (określenie Norwida) „sumienność wobec źródeł”. Sumienność a zatem moralna niezależność, zupełna swoboda oceny w strefie różnych wieków, osobowości i zjawisk. Odstałość i humanistyczne wyklarowanie każdej strofy. A takim właśnie klejnotem, takim humanizmem pieczętuje się Jastrun.

Przybytek jego Muzy — to (jedno z wielu możliwych porównań) laboratorium uczonej poezji, w którym z cierpliwością Piotra Ronsarda, du Bella'ya, Pontusa de Thyard destylowana jest wiedza poetycka minionych czasów w tęga esencję, której mała kropka odpowiednio zabarwia cały utwór. Trochę przykładów.

W zwięzłym felietonie Jastruna (*Kuźnica* 1947 r. nr 17) *O młodzieży akademickiej* znajdował czytelnik następujące oświadczenie: „bo jeśli czegoś brak najwięcej naszym młodym poetom to wykształcenia, kultury literackiej, poczucia ciągłości życia literackiego, szacunku dla wielkich form przeszłości. Bo nawet, aby się przeciw tym formom zbuntować, trzeba je w pierwej w jakimś sensie podziwiać”. Kiedy indziej, w 1950 r., ale w tej samej *Kuźnicy* Jastrun wytykał towarzyszom pióra dość częstą zdaniem jego nieumiejętność lektury: „Horacy zalecał czytanie „dniami i nocą” poetów greckich, z których sam wyrósł. Ale czytanie nie jest łatwą sztuką. Nawet literaci nie zawsze umieją czytać”. (nr 1-2). Podziw dla „wielkich form przeszłości” i kunszt czytania wyborów opianowanych — stanowią niejako „dziedziczne obciążenie” poezji Jastruna. Jest on wrażliwym medium odbiorczym prądów wydzielenych przez różne środowiska i różne atmosfery kulturalno-artystyczne. Sam się do tego przyznaje:

.....w tamtych latach  
 Jeśli wahałem kwiaty, cały byłem w kwiatkach.  
 Jeśli patrzyłem w piękną twarz, to przedpadalem  
 W tej twarzy i myśl moja tak rzadziła  
 Ja bawiący się z cieniem rządu jego  
 Jak myśliwy, co staje się wzmrokiem i słuchem  
 I cały jest w celności bronni, tak poetów  
 Czytałem...

Byłem wtenczas pod złymi  
 Wyspiańskiego (złoty róg dziś jeszcze gra mi),  
 Akropolis, Achilleis, Wesela i Kłatusę  
 Umiałem prawie całe na pamięć...  
 (Poemat o mowie polskiej:  
 List dydaktyczny w sprawie poezji).

Defilada nazwisk wybitnych poetów czy w ogóle artystów jest w wierszach Jastruna obfita.

W owej poetyckiej kolekcji stycamy się z Homerem, Tacytem, Dantem, Petrarą, Michałem Aniołem, Witem Stwosem, Ruissdaelem, Lenartowiczem, Norwidem, Szopenem, George Sand, Heinem itd. Litania długa. To nie są wzmianki bibliograficzne, to przeżycia. O Mickiewiczu, o Słowackim napisał Jastrun osobne książki. Zapowiada się książka o Kochanowskim. Dotknięte słowem poetyckim nazwisko rozciąga się w szerokie kręgi nastrojów, skojarzeń, przypomnień i zbliżonych do siebie w porównaniu, w przenośni, w metaforyze a odległych w istocie perspektyw. Klasyczna starożytność grecka i rzymska, Odrodzenie, Romantyzm wczesny i późny to bodaj główne współczynniki kulturalnej chłonności Jastruna. „Więziarka z Eginy” rzeźbie greckiej bez zrenic, bez ramion podobna — użala się rytmem Sofoklesa:

Tę skargę słyszmy  
 Wśród muzyk, co kłamią,  
 Wśród gajów oliwnych  
 I mirtów Eginy —  
 Głos pusty bez zrenic i ramion  
 Tej, którą po latach przekują na mur.  
 (Rok urodzaju: *Więziarka z Eginy*).

Kiedy indziej poeta chciałby się uzbroid przeciwko niewymiernościom życia w dar Horacego, w pogodną miarę zwrotki mądre formułujące doświadczenie:  
 Ześlę mi ten drogi dar,  
 A ja z Horacym,  
 Z życia mego wrzucę w żar  
 Dziesięć lat pracy.  
 (Sezon w Alpach: *Prośba poety*).

Zjawia się układ i melodia Petrarcki:

Szczęśliwa suknia, co kolana twoje  
 opływała,  
 Szczęśliwy dzień i miesiąc twego cienia  
 pełen,  
 Szczęśliwa łaka, godzina i skala,  
 Na której twe stopy spoczęły.  
 (Ibid. *Uśmiech*).

Zjawia się Norwidowski ucięty finał, z którego myśl biegnie dalej i dalej tak pamiętnym żalobnym szlakiem cienia Józefa Bema:  
 Powstanie Gromada Grudzią, powsta-  
 nie Łódź i Manchester,  
 Nie w jego imię. Lecz brzoza o sercu  
 jego zaśpiewa  
 Kiedyś w wolnej ojczyźnie ludu — liści  
 zszalestem,  
 Ze wierz, że się spodziewa.  
 (Poemat o mowie polskiej: *Worceł*).

Wymiary różnych czasów łączą się w jeden wymiar: w rzecz ludzką. To jest sprawdzian, który Jastrun stosuje wszędzie: w każdym drobniaku, w każdym okrucchu poezji i prozy:  
 Grecjo Byronaj U tych skąd  
 Korzy się morze jak przed wiekiem.  
 Wzdyma się czaropieenny wał,  
 Na brzegu kłeka przed człowiekiem.  
 (Rzecz ludzka: *Do Grecji*).

Nie tylko na pożywe literackiej wyrasta twórczość Jastruna. Krąży w niej jak sokli żywotne w pnju drzewnym wrażenia i refleksje z innych dziedzin sztuki. Ze względu na kult Chopina, ze względu na uległość rytmu poety czarodziejstwa muzyka — godzi się nazwać Jastruna jednym z najgorliwszych poetów - szopenistów. Jest w nim żarliwość wynawcy lecz ani zdźbia ezoteryzmu. Jest przetasowanie (tak znamienne) perspektyw: z wylotem na współczesność:

Na cztery strony świata okno się  
 odmyka.  
 Strumieniem blasku leje się z niego  
 muzyka.  
 Wpierw nieśmiało zaczęta, ledwie od  
 plusnięcia  
 Melodyjnego rwie się aż do  
 wniebowzięcia.

Oto patrz, Fryderyku, to Warszawa,  
 gniazdo  
 Wskreszone z ruin, twoje Krakowskie  
 Przedmieście,  
 Nowy Świat, mlecz Zykmuta, twój  
 dźwięk, co jest gwiazdą  
 Na granicy ciemności i światła, bo nie  
 zna  
 Innych granic ta twoja muzyka  
 przejeździła

(Poemat o mowie polskiej: *Szopen*).

Chociaż wiersze Jastruna można bezbłędnie określić słowami Herdera: „Poezja liryczna śpiewa”. (O obrazie, poezji i bajce 1787 r.), to jednak nie są one zamknięte dla wrażeń piastycznych, dla wrażeń płynących z aperepcji malarstwa czy rzeźby. Barwy, kształty i światła wielkich mistrzów Odrodzenia (Michał Anioł, Rafael) są w nich uczzone odpowiednikiem słownym. Wrażliwość ich twórcy poddaje się łatwo potędze Wita Stwosza, urokowi Gierymskiego, żywiołowości Matejki:

Ten blask błący z wody w Trąbkach  
 Gierymskiego,  
 To zimne światło z głębi wzruszonej  
 zrenicy  
 Nie jest do powtórzenia...  
 A teraz stań, nie mruczając powiek przed  
 Matejką,  
 Przed tą kroniką, w którą jak duch  
 Zeksypira  
 Wstąpiły: ból, gwałtowność z barwą  
 czarodziejka.  
 (Poemat o mowie polskiej: *Krytyka malarstwa*).

Wiele wśród tych odczuwań (w ich stylu, w ich skłonności do aforystyki) jest rodem z Norwida. Ale, co Norwid wydłutował, Jastrun wyśpiewał.

## DECYZJE POETY

Jastrun nie jest beztroskim estetą, sybarytą, używającym wczasów w różnych epokach kultury. Jest poetą obowiązku społecznego. Bogactwo doświadczeń i wrażeń w zetknięciu z kulturą odziedziczoną uporządkował ładem sumienia. Powziął decyzje moralne. Nie przyjmował bez wyboru i zła i dobra, byleby tylko nasycić głód estetyczny i uzyskać okazję do popisu w kunszcie dla kunsztu. Tworzył po to, aby ponosić odpowiedzialność za swoją „rzczech ludzką”.

Jeden z najbardziej dramatycznych motywów jego poezji — to ścieranie się odpowiedzialności artysty z odpowiedzialnością obywatela; walka artysty o przeżywanie współczesności na miarę Fidasza. Rzekibyś, że słychać w jego strofach uderzenia dłuta, które z surowca dni dzisiejszych mają wydobyc kształt wiecznotrwały.

Zmudny to wysiłek, gdyż Jastrun zdaje sobie sprawę zarówno z nakazów chwili dziejowej, jak z wymagań poezji, zaiste, surowych i bezwzględnych. Pisał o tym i z dystansu prozy i borykał się z tym samowtor niby Jakub z Aniołem w swoich wierszach. Tylko barbarzyństwo (tak niesłychanie dalekie od Jastruna, któremu nawet jest obca pierwotność) czyni poezję służką aktualności i każe jej powtarzać slogany, jej, która jest niepowtarzalna: „Bo nie jest chyba tajemnicą, że poezja to zjawisko nie częste i raczej wyjątkowe. Niepowtarzalność jej przyciąga i odpycha zarazem”. (*Kuźnica*, 1945 r., nr 10 *Godzina myśli*, wiek poezji). Tymczasem zdarzenia się piętrzą, zapada się dawna rzeczywistość, wylaniając nie bez cierpienia jak przy wszelkich narodzinach formy nowe, formacje nowe o rozpiętości przeobrażeń geologicznych. Historia czeka na słowo poety. Jastrun jest pod zaklęciem tego oczekiwania. Nieraz wspomina Tacyta i myśli zapewne o lapidarności jego orzeczeń streszczających w kilku zdaniach lat kilkanaście. Takie dać właśnie świadectwo czasom próżne deklaratywne-go gadulstwa, różnostronne — oto decyzja poety: „Do współczesności dochodzi się różnymi drogami. Poemat miłosny może być bardziej współczesny od wiersza o węglu śląskim... Czy jeszcze raz mam tłumaczyć ci, że odbicie współczesności w literaturze nie jest równoznaczne z hasłem i artykułem politycznym”. (*Kuźnica*, 1947 r. nr 18 i 37). Tu pauza w rozumowaniu i dalszy ciąg w praktyce poetyckiej. Niech też pauzę wypełni ulubiony przez Jastruna Tacyt: „Poezja była kolebką słowa i jego sanktuarium, w tej pierwotnej postaci i szacie przenika ono do o-wych serc czystych i nie skażonych żadnym występkiem, w wierszach przemawiały wyroczenie”. (*Dialog o mówcach*). Akustyka wyroczeni — to jedna z najbardziej znamienitych cech wierszy Jastruna a wyrok o czasach i ludziach — to jedna z najważniejszych jego decyzji.

Wyrok, ale z jakiego trybunału? Świadek erupcji dziejowej na miarę gigantyczną chce z dziejów już ostygłych odcyfrować składniki dziejowy jeszcze nie ostygłych, wypełniających swym żarem i nasze „prace i dni”. Przez rozszerzenie widnokręgu w przeszłość i przyszłość (stały motyw jego poezji) chce, zadośćczyniąc swojej głębokiej potrzebie, utrwalić rytm ewolucji w skokach rewolucji. Stąd tyle spojrzeń owianych zadumą w naszą i obcą przeszłość rewolucyjną. Choćby ten oto wyjątek z *Poematu o mowie polskiej*:

Sprawy dalekie, a tak jeszcze sercu  
 bliskiej  
 Czy nie drżały ci ręce, kiedy w  
 bibliotece  
 Brałeś odezwy, zblakłe nby w  
 świetle świecy,  
 Gromady Grudzią — o porównaniu  
 kondycji  
 Socjalnych? żółtko kartki  
 zanierzbłych edycji,  
 Dzieje Proletariatu, nieostygłe dotąd.  
 Ulotki nielegalne KPP, taszczone  
 Do fabryk, bicie serca ogrzane,  
 rozdar-  
 Bagnetem policjanta, których każda  
 karte  
 Zatuścił palec szpieła i prokuratora.  
 Patrzyć i pod powieką jak łzę  
 cznie-  
 wczoraj

W końcu ostatnia lecz pierwszej wagi decyzja: „podnoszenie ludowych natchnień (idę tropem umiłowanego przez Jastruna Norwida) do potęgi przenikającej i ogarniającej ludzką całą, podnoszenie ludowego do ludzkości” i (dodać już od siebie) podnoszenie czasów współczesnych do miary Fidasza. Jak to się odbywa niech o tym powiedzą dwa zestawienia: notatka dziennikarska, surowiec aktualny i wytopiona z niego poezja: „W Lublinie był ruch nieustanny i nadzwyczajny. W tym małym mieście, częściowo w czasie wojny zburzonym, w jego mało przytulnych murach, otwartych na szeroki przestwór nalołów bombowych,

mieścił się Rząd nowej Rzeczypospolitej, zawieszona była administracja, na małym placu odbywały się parady wojskowe. W domku na Radziwiłłowskiej tworzyła się pierwsza spółdzielnia wydawnicza *Czytelnik* i tu mieszkali pierwsi literaci, którzy zjechali do tej za-improvizowanej stolicy Polski Ludowej”. (*Kuźnica*, 1949 r., nr 29 *Humanizm naszego czasu*). Teraz to samo (z drobną różnicą chronologii) w oczach poezji:

W festiennym słońcu Persefona  
 Wśród drzew wół-obecnych, w  
 Łazienkach,  
 Nad rychłym zejściem zamyślona  
 W pochyleniu gąszi kłeka.

Gwizdy pociągów towarowych  
 Przeciły widmo: gwizd moździerzy.  
 Na ruinach oparych głowy  
 Spiączy obok umarłych leżą.

Czasem w ciemności się rozlegną  
 Zblakane strzały milicjantów.  
 Gruz się obsunął lub reflektor  
 Wybielił nagłe liść akantu.

(Sezon w Alpach: 1944 — 1947)

Kto wie czy ten „liść akantu” nie jest bliźniakiem tego, który u Norwida „opłakiwał kolumn karbowaną trzcina”, ale to już nie ulega



Mieczysław Jastrun

wątpliwości, że oznacza on decyzję wielkiego stylu w poezji traktującej o współczesności.

## STYL, OPORY I ZWYCIEŚTWA

Wiersz Jastruna powstaje z mokołu „czułych nocy” opiewanych przez Kochanowskiego, ze skupionej uwagi nad każdym słowem: nad jego dźwiękiem, kształtem, barwą i zapachem. Do takiej powagi benedyktyńskiej żarliwości musi dochodzić ślepycańska pasja poety, żeby wydzielił z materii słowa energię twórczą. Jastrun zna dobrze udręk rozmijania się z miarą z wykonaniem: „...owoce pracy pisarza bywają niekiedy słodkie, ale praca, którą podejmuje poeta, autor powieści, dramaturg nie jest ani łatwa ani słodka”. (*Kuźnica*, 1945 r., nr 15). Ani łatwa ani prosta, bo wymaga, aby rzecz zrównoważył ze słowem rzetelnie, skrupulatnie, odwrotnie. Bez kompromisu z cymkolwiek ubocznym: wrogim czy przyjaznym, oszczerczym czy pochlebny. Dobry styl — to szkoła uczciwości wobec samego siebie i wobec świata. Zły styl jest fałszem moralnym nie wyłącznie artystycznym: „Tylko prawdziwe ukazanie spraw ludzkich, tylko nieubłagana odwaga spojrzenia liczy się w poezji”. (*Kuźnica* 1949 r.). Ponadto styl wiersza i sam wiersz to owoc dojrzewania poety i poza stylem i poza wierszem: w rzeczywistości ludzkiej! Tak Jastrun pojmuje Mickiewicza, Słowackiego, Norwida i taki nakłada obowiązek na własną twórczość: „Prawdziwe wiersze rodzą się nagle, w całości, ale ich narodziny wieńczą jedynie długi czas przygotowania, niewidzialnego wzrostu”. (*Spotkanie z Salomeą*). Nie szuka Jastrun odnośników metafizycznych dla podświadomej nieraz sprawy twórczej, której syntezę tworzy styl. Wyjaśnia ją sobie racjonalistycznie: pracą, doświadczeniem, kultem prawdy:

Nielatwo pisać.  
 Nie umlem dwóch zdań złożyć, aby pod  
 nie  
 Nie podłożyć twardego jak stół  
 doświadczenia.

(Sezon w Alpach: *Poeta i wspomnienie*).

O bądźcie wy dla mnie  
 fontannle  
 I studni artystycznej. Ja się spalam,  
 męczy  
 W pracy swej, kreście, maże, nim dwa  
 słowa zdźwignię,  
 Nie jak dwie płaskie dżony zrywane  
 oklaskiem,

Ale jak jedną prawdę, co zrzuca  
 każdą maskę.  
 (Poemat o mowie polskiej: *Tak żyć jak ty na przykład*).

W takiej poetyce nie ma młejsca na znak pytania przy zagadnieniu: treść i forma. To są dwie strony jednego medalu.

Zdawaloby się, że wiersz gotowy, powiernik tyłu zwątpień i takiego mozołu powinien by usposobić Jastruna do oceny wyrozumialej. Treść uświęca środki artystyczne. Gdzie tam. Nic mylniejszego. Jastrun przeciąga rygorystycznym zajadłym formalistom. Zachwyca się na przykład Słowackim, który pisząc o Bohdanie Zaleskim niemal z lupą w rękę przygląda się każdemu wierszowi, każdemu słowu i rejestruje najdrobniejszą skazę. Z upodobaniem zaznacza w Kochanowskim pieczołowitość o rytm i rym oraz zimny krytycyzm w stosunku do napisanych już utworów. Podsuwa tu niewątpliwie własne myśli, dlatego warto parę zdań zacytować: „Zdawaloby się, że niektóre strofy wydają głuchy ton, że ulotniło się z nich to, co stanowi o istocie wier-

Tylko wiersz, co się w metal wwierca,  
 Będzie trwał nie tracąc wagi.  
 Będzie blił, jak serce, dużej od serca.  
 (Poemat o mowie polskiej: *Tylko wiersz*).

Gdzież jest współczesność twoja? Bo  
 to nie to,  
 Co jest tęczą gołębia. Trudniej być  
 poetą,  
 Na nic jego prawicy z lewicą  
 klaskanie...  
 Czy znasz okrutne filtry lat? Co po-  
 pozostanie?

(Ibid.: *List dydaktyczny w sprawie poezji*).

Ze stylu wnioskowano o niejaki oporach wewnętrznych. Jan Kott kojarzył tę poetykę z symbolizmem francuskim, z jego patronem Stefanem Mallarmé (*Kuźnica* 1946 r. nr 27 *Wstęp do poezji ludzkiej*). Ryszard Matuszewski używa zwrotu, że w poezji Jastruna styl jest „elementem zachowawczym” (*Literatura na przełomie*, Warszawa 1951 r.). Obaj notują postępowanie, wyzwalanie się z nalołów przeszłości. Mimo to jednak widoczny bywa niedomiar między treścią a wskroś współczesną i formą cokolwiek starszej daty. To coś takiego jak w naszym życiu gospodarczym opóźnienie rolnictwa w stosunku do przemysłu. Styl wciąga poetę w konflikty przedawione, na przykład w „romantyczny rozdźwięk między poetą a światem” (R. Matuszewski) lub w pojmowanie czasu jako płynnej treści psychicznej. Świadomość marksisty rozbiega się tutaj ze stylizacją, która uprawnia posadzenia o dysharmonię. W założeniach myślowych jądro energii społecznej stanowi klasa, zbiorowość, a czas jest formą bytu materii, tymczasem styl faworyzuje niekiedy jednostkę udrapowaną w samotności, Feniksa rewolucji odradzającego się z własnych popiołów, styl rozcięcia „materialność” czasu w przepływie zjawisk psychicznych. Dokumentacja ad plimum i ad secundum:

Kogóż obchodził, co się dzieje w sercu  
 działacza, meża,  
 Który poświęcił wszystko dla sprawy,  
 choć będzie stracona?  
 To rzecz poety wylewał łzy, może  
 lorda Byrona?

Nie jego, co wyrósł wśród zgiełku debat  
 przy wórze oręża.

(Poemat o mowie polskiej: *Worceł*).

Sprawdza się ciężkość, ruch, odległość  
 rzeczy  
 I tylko nie zna czasu, co wielki,  
 człowieczy  
 Już go napęta, lecz on jeszcze nie  
 wie o nim,  
 Rączkami i nóżkami, rzekibyś, że się  
 broní  
 Przed nim, co nam przynosi rozstania,  
 spotkania

I u powiek zawieszta ciężar  
 pożegnania —  
 Czas cięższy niż powszechne prawo  
 przyciągania  
 I spadania przedmiotów, nie podparty  
 niczem.

(Ibid.: *W domu*).

Wśród pewnych oporów i dysharmonii jedna harmonia jest w wierszach Jastruna bezsporna: harmonia muzyki słowa. Bywają tu zanieczane prawa średniości i sylabiczności, zlekceważona architektownika, pogmatwane miary — mimo to ład zwycięża. Ład porządku muzycznego.

Poprzez czas słyszę dzwony pożegnania,  
 Wszystkie nieżyłki mam w sobie,  
 wszystkie symfonie.

(*Godzina strzeżona: Poprzez czas*)

Regularny trzynastozgłoskowiec, do którego Jastrun ostatnio chętnie się skłania, zatracca swoją sylabiczną prawidłowość na rzecz wzmocnienia i osłabienia akcentacyjnych. Nie średniości, nie ordynek odpowiednio wymuszonych sylab wybijają takt, ale wyznacza go melodyjny zespół akcentów:

A przy nim blisko zasnął ten  
 najukochońszy,  
 Motyle nad nim lecą, tysiąc pyłków  
 tańczy.  
 Dziecko obloków, sam się przezwiał  
 Eolionem,  
 Zniknął, jakby się cały okrył niebo-  
 nieboskonem.

Sekret muzyczności Jastruna tkwi między innymi w takim układzie, w takim zestawieniu sylab, że pod względem tonu uzupełniają się wzajemnie jak instrumenty sasiające w orkiestrze. Są tu wykorzystane wszelkie odcienie barwy dźwiękowej:

Widzę laboratorium  
 Przyszłego Mieczurina!  
 Ogród owoców żywota,  
 Oto Waga i Orion  
 Mikrokomosu,  
 Armia blizszących Jonów,  
 Miałekich komet fosforyzujących włosy,  
 W ciatach, w przedmiotach  
 Obnazona do wnętrza elektronów  
 istota.  
 (Barwy ziemi: *W pracowni świata*)

I tak bodaj wszędzie w wierszach Jastruna swobodnie rozsypane grupy akcentacyjne przy głównym czytaniu łączą się w całość, pulsują, dreszcz rytmu przebiega zgłoski i wiersz zaczyna śpiewać:

Jak gołąb odleciała.  
 Jak list, jak obiók biała.  
 Nawet swój cień uniosła.  
 Nieublagana prosta.  
 (Poemat o mowie polskiej: *Pożegnanie*)



# NIE TYLKO „KUKULECZKA” I ŚCIBOR..

DZIESIĘĆ dni pobytu w Niemieckiej Republice Demokratycznej absolutnie nie wystarczyło, by wyrobić sobie właściwe pojęcie o najważniejszych problemach kulturalnych naszego zachodniego sąsiada. Nie wystarczyło nawet, aby dokonać uogólnień i porównań, gdyż w tym ogromnym kalejdoskopie wrażeń, obrazów i rozmów, które przewijały się przez cały czas naszego pobytu w NRD, sprawy ważne zatraçały po prostu swą ważkość wśród dziesiątków różnych rzeczy, mających niewątpliwą przewagę nad innymi dzięki swojej... nowości. Nawet sięgnięcie do pamięci nie rozwiązuje sprawy, podobnie jak i wgląd do mojego dziennika podróży, w którym obok zwrotu: „trudności młodej poetyki niemieckiej” odczytuje zanotowane wrażenia z Eichsfeldu — katolickiego ośrodka w NRD, notatkę o dr Johnie i repertuar teatrowy berliński. Konia z rzedem temu, kto uporządkuje ten kram różności. Mimo to nie rezygnując z tego — wydawałoby się — niewykonalnego zadania, wyrwam parę kartek z mego szkicownika wrażeń, aby podzielić się uwagami dotyczącymi tych spraw, o których mało się stosunkowo pisze w naszej prasie: o Polsce widzianej oczami ludzi w NRD.

## SUKCES „KUKULECZKI”

Nie będę przesadzał, gdy napiszę, że wiedza o kulturze polskiej w pojęciu przeciętnego Niemca w NRD sprowadza się przede wszystkim do polskiej muzyki.

Niemcy są narodem o wyrobionym smaku muzycznym. Jest to naród melomanów wychowany na świętych tradycjach muzyki Bacha i Beethovena — naród, który wydał poza tymi genialnymi największą chyba na świecie ilość kompozytorów, muzyków i dyrygentów. Mimo tych wielkich tradycji, a może i dzięki nim, Niemcy potrafią słuchać i rozumieć muzykę innych narodów, odkrywają piękno wyrastające z ich folkloru i krzepkiego życia, czują radość i smutek narodowych pieśni. Wrażenie to nie jest tylko moją obserwacją. W rozmowie, jaką toczyliśmy pewnego wieczoru w Weimarze, słuchając koncertu Liszta, zdanie to podzielił zarówno Szymonowicz, jak i Woytowiczówna. Wystarczyło zresztą być na ich występach w Berlinie, w Wartburgu i Schwerinie, aby z nieukrywaną dumą widzieć nie tylko serdeczne, ale często entuzjastyczne przyjęcie polskiej muzyki. Właściwie dopiero teraz Niemcy „odkrywają” muzykę polską, która przemawiała do nich dotąd jedynie tylko nazwiskami: Chopin. Dopiero po wielkim sukcesie „Halki” w Berlińskiej Operze stał się ogólnie znany Moniuszko, po nim zaś „zdobywa” Niemców współczesna muzyka polska. Trzeba przyznać, że z wielkim powodzeniem współzawodniczą o palmę popularności z „klasykami” muzyki polskiej nasze pieśni ludowe. Polska pieśń ludowa spopularyzowana przez „Mazowsze”, podchwyciona przez wiele narodów, pobili również Niemców. Wątpię bardzo, czy Sygietyński i cały zespół „Mazowsze” zdawał sobie kiedykolwiek sprawę ze znaczenia propa-

gandowego blahej a jednak jakże miłej piosenki — „Kukuleczka kukula”, piosenki, którą śpiewa się dziś w Związku Radzieckim, Chinach, Rumunii, Czechosłowacji, która jest witała entuzjastycznie i przez Niemców. Piosenkę tę śpiewał po polsku niemiecki zespół pieśni i tańca podczas uroczystego otwarcia Tygodnia Kultury Polskiej w NRD, słyszałem ją nadawaną kilkakrotnie przez niemieckie radio, jak również nuciącą przez przechodniów na ulicach niemieckich miast. Dlatego więc pisząc tych parę słów o muzyce polskiej nie mogę ominąć sobie przyjemności i zaszczycić, aby nie oddać czci i uznania ambasadorowi Nr 1 Kultury Polskiej — polskiej pieśni ludowej.

## CIERPKIE OWOCE

Powiedzmy sobie szczerze, że o ile muzyka polska spełnia pierwszorzędą rolę w propagandzie kultury polskiej za granicą, to film i teatr, a raczej film i sztuka sceniczna, dwie ważne formy masowego oddziaływania i wychowywania widza, nie zawsze mogą pośzczycić się podobnie wysokimi osiągnięciami.

Zacznijmy od teatru. Sceniczna sztuka polska, a zwłaszcza sztuka współczesna, nie jest szeroko znana za granicą. Nie upajamy się ostatnimi sukcesami w Paryżu, nie ludzimy się, że odgrywamy w świetle scenicznym rolę międzynarodową. „Niemcy” i prawdopodobnie „Juliusz i Ethel” Kruczkowskiego — dwie sztuki najbardziej „międzynarodowe”, jeśli chodzi o ich popularność i wystawianie względnie planowaną inscenizację za granicą, nie czynią w sztuce polskiej wiśni. Zdajemy sobie sprawę z tego, że posiadamy świetnych aktorów — aktorów i raczej przeciętnych twórców współczesnych. Z zestawienia tych dwóch elementów narodził się sukces paryski tzn. sukces aktora grającego sztukę niewspółczesną lecz komedię Fredry lub dramata Żeromskiego. Gdy zapytamy Berlińczyka, który jest dość dobrze zorientowany w repertuarze scen niemieckich, o polskie sztuki grane w NRD, wymieni bez zastanowienia: „Moralität Frau Dulski” i... potem namyśla się bardzo długo, aby w końcu nie przypodniść sobie polskiej sztuki współczesnej.

A jak się ma sprawa z filmem? Parę dni temu przeczytałem w tygodniku Film krótką ale wielce dumną notatkę o bardzo przychylnych podobno odgłosach i recenzjach prasy austriackiej o polskim filmie „Przygoda na Mariensztacie”. Również w ostatnim numerze *Przeglądu Kulturalnego*, w sprawozdaniu z rozdania nagród w Karłowych Varach w relacji Jerzego Piażewskiego, czytamy o niespodziewanej dobrej „prasie” tego polskiego filmu. Dwie te relacje mocno mnie zastanowiły. Znacnie zapewne ten film i macie wyrobione o nim zdanie. Nie bardzo więc rozumiem, czemu tygodnik Film jak i *Przegląd Kulturalny* drogą pośred-

nią, via Wiedeń i Karlove Vary usiłują dość bezkrytycznie nadmiernie wywindować ten słaby film.

Sprawę tę poruszam z tego powodu, że z „Przygodą na Mariensztacie” spotkałem się w Lipsku. Nie wiem, jak dalece gusty publiczności wiedeńskiej i czeskiej różnią się od wyrobienia filmowego publiczności lipskiej, ale mogę stwierdzić, że ocena filmu dokonana przez Niemców pokrywa się z oceną publiczności polskiej. Powiedzmy szczerze, że film ten nie przynosi kinematografii polskiej specjalnego wstępu, ale też nie jest naszym „reprezentatywnym” filmem — zwłaszcza, że przedstawia ma tak sławne i wysoko cenione w NRD „Warschauer Tempo”, tempo odbudowującej się naszej stolicy. I trzeba by żalem przyznać, że patos symbolu warszawskiego tempa pozostał na ekranie nieodczytany, odległy, boję się napisać: pomniejszony. Tak zresztą ocenili ten film moi rozmówcy w Lipsku, którzy oglądali go z racji Tygodnia Kultury Polskiej w kinie *Schauburg*. Zastrzegłem się na wstępie, że nie chciałbym na podstawie jednego wypadku dokonywać uogólnień, ale zastanawiam się, czy często nie przekraczamy tej słusznej maksymy i czy nie podciągamy do rangi ogólnienia wiele podobnych wypadków, zwłaszcza gdy wypadki te „coś reprezentują”? Gorzej jest gdy uogólnienia takie, często bardzo fałszywe, są dokonywane za granicą.

## SPRAWY WYDAWNICZE

Pewnym niepokojem napełniały mnie niemieckie wystawy, na których stosunkowo mało widziałem książek tłumaczonych z języka polskiego. Parę nowel Orzeszkowej, Sienkiewicza, Newerlego „Pamiętka z Celulozy”, która po niemiecku została wydana pt. „Eines Menschen Weg”, piękny album Wita Stwosza, antologia polskiej poezji. Jest zastanawiające, że do rangi „klasyki” polskiej literatury urosł w NRD... Ścibor-Ryśki, którego „Węgiel” doczekał się już trzeciego wydania. Ale dlaczego nie ma na półkach księgarskich Dąbrowskiej, Nałkowskiej, Iwaskiewicz, Brandysa?

Niepokoju tego nie potrafił mi rozproszyć v-dyrektor Kollej z *Leipziger Kommissions — und Grossbuchhandel* — instytucji sprawującej rolę naszego „Domu Książki”, ani dyr. Hoffmann z *Deutscher Buch-Export und Import GmbH* (przedsiębiorstwo zajmujące się eksportem i importem książek). W porównaniu z tłumaczeniami z języka czeskiego (41 pozycji) plan wydawniczy polskich książek (8) wydał mi się rażąco niski. Okazuje się jednak, że i w NRD brak jest odpowiedniej koordynacji między placówkami wydawniczymi, gdyż obawy nasze zostały rozproszone właściwym planem wydawniczym pozycji polskich, ja-

kie mają się ukazać jeszcze w bieżącym roku w NRD. Plan ten otrzymałem od niemieckiego Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą. Napawa on już większym optymizmem, jakkolwiek budzić może pewne pytania i zastrzeżenia: np. dlaczego planowane jest wydanie Potockiego: „Rękopis znaleziony w Saragossie” i to w nakładzie 10 000 egzemplarzy, a nie ma w planie — powiedzmy — „Dziadów” (drezdeńskich — sic!) Mickiewicza?

Sądzę, że czytelników polskich zainteresuje plan wydawniczy pozycji polskich w NRD, dlatego go pokrótce omówię. W NRD nie ma, tak jak w Polsce, wydawnictw, które specjalizowałyby się w edytorstwie książek pewnego typu, np. tłumaczeń z języków obcych, względnie według określonego podziału tematycznego. Z tego powodu wiele przedsięwzięć księgarskich wydaje pozycje zbliżone do siebie tematycznie, a często nawet i tego samego autora. Na przykład z 19 przedsięwzięć, które planują w bieżącym roku wydać polskie książki, Sienkiewiczem interesują się dwa — *Thüringer Volksverlag*, który chce wydać „Krzyżaków” względnie „Potop” oraz *Greifenverlag* mający w planie wybór nowel Sienkiewicza. Powieść historyczna reprezentowana będzie „Czerwonymi tarczami” Iwaskiewicz oraz „Kordianem i chamelem” Kruczkowskiego, który w niemieckim wydaniu ukaże się pt. „Rebell und Bauer”. Książka ta będzie swojego rodzaju „rekordzistką”, gdyż ukaże się w nakładzie 50 000 egzemplarzy. Na witranych sklepowych widziałem już „Lalkę” Prusa. Obecnie wydane zostaną „Emancypantki”, Żeromski doczeka się na razie tylko jednej pozycji („Ludzie bezdomni”), podobnie jak Kraszewski, Reymont i Dąbrowska („Noce i dnie”).

Literatura współczesna? — Jest, jednak dobor jej jest niepełny. Słusznie, że są w planie, względnie już ukazały się, dwie powieści Putramenta — „Rzeczywistość” i „Wrześień”, Wasilewskiej „Ojczyzna”, Brezy „Uczta Baltazara” (20 000 nakładu), Lema „Astronauty”, Koźnińskiego „Piątka z ulicy Barskiej” i „Opowiadania sportowe” Promińskiego. Ale w planie tym nie widzimy wcale książek Nałkowskiej, Brandysa, Kazimierza i Mariana, Żukrowskiego, Iwaskiewicz.

Z poezją jest źle. W planie figuruje tylko „Pan Tadeusz”, natomiast o współczesnej poezji polskiej, poza wydaną już antologią, nie widać żadnych wzmianek.

Trudno wysuwać wnioski na podstawie planu oraz kilku rozmów — i to z osobami na pewno nie najbardziej autorytatywnymi w tych sprawach, ale wydaje mi się, że dobor książek nie jest najtrafniejszy, to znaczy wykazuje sporo luk i to szczególnie w stosunku do tych pozycji, które wyznaczałyby rangę polskiej literatury.

Mimo tych krytycznych uwag trzeba bezstronnie stwierdzić, że rok bieżący jest przełomowy, przynosi bowiem znacznie większą ilość cenniejszych naszych dzieł, niż lata poprzednie. Dlatego też można z nutą optymizmu odnieść się do planu wydawniczego, jak i dalszych perspektyw tłumaczeń z języka polskiego na niemiecki.

## KŁOPOTY Z LIPCEM

Na zakończenie moich uwag o sprawach polskich za Odrą i Nysą chciałbym poruszyć sprawę formalną. Chodzi mi o czas obchodów „Tygodnia Kultury Polskiej w NRD”, o ten nieszczęsny lipiec, który tradycyjnemu, na całej chyba półkuli północnej, wypęda ludzi z fabryk, biur i redakcji na wczasy. Dlatego też zorganizowanie w tym czasie obchodów kulturalnych w wielu wypadkach musiało z przyczyn obiektywnych wypaść nie tak, jak tego życzyli sobie i organizatorzy, i delegacja polska.

Weźmy na przykład sprawę teatru. Polscy przedstawiciele, którzy brali udział w Tygodniu i z racji swojego zawodu lub zamiłowań teatralnych chcieli zainteresować się i poznać bliżej teatr niemiecki, a zwłaszcza zobaczyć „w domu” sławnego teatru Brechta — musieli zadowolić się podziwianiem operetki „Wiener Blut” granej w jednym egzystującym w Berlinie w miesiącu lipcu teatrze Metropol. Poza tym jednym wszystkie chyba teatry w całej NRD były w okresie letnim zamknięte. Nawet woźni byli na urloпах. Wyczerpalimy bezskutecznie wszelkie możliwości nawiązania kontaktu w pogoni za niemieckimi aktorami i reżyserami, musielibyśmy udać się albo nad Bałtyk, albo w góry Harzu.

Jest niepowetowaną szkoda, że nie mogliśmy zobaczyć paru zwłaszcza przedstawień, np. sztuki „Der Teufelskreis” (autor: Hedda Zinner), której treścią jest proces Dymitrowa. Na temat tej sztuki słyszałem wiele różnych głosów — np. są tacy, którzy twierdzą, że sukces jej jest dziełem nie tyle talentu autora, ile samego Dymitrowa. Szkoda też, że nie mogliśmy zobaczyć głosem sztuki Bechera — „Die Winterschlacht” — której premiera odbyła w się w Pradze a niemiecka premiera w teatrze lipskim.

Byłbym niesprawiedliwy, gdybym nie wspomniał o lipcowym festiwalu dramatów Goethego i Schillera, wystawianych przez miścisłowcy teatr w Weimarze. Przyznam szczerze, że od oglądania tych spektakli odstrasza mnie nie tyle umiarkowana recenzja prasy, co... długość samych przedstawień. Warszawską inscenizację „Lalki” jest fraszką w porównaniu z Weimarskim wystawieniem „Götza von Berlichingen” Goethego, którego spektakl trwa równo 6 godzin. Przedstawienia weimarskie nie ratują urlopowej sytuacji teatralnej w lipcu, dlatego też odjechalśmy

z powrotem do kraju bez poznania teatru niemieckiego. W pogoni za Brechtem trzeba by było pojechać w tym czasie do... Paryża.

Sytuacja przedstawiała się nieco lepiej jeśli chodzi o kontakty literackie, ale również większość niemieckich kolegów po piórze spędza czas lipcowy poza wielkimi miastami. Trudno jest „szukać” ich po całej NRD, jak również trudno byłoby odwoływać ich z urlopow.

Mimo tych „obiektywnych” trudności — zaaranżowane nasze spotkania z młodymi pisarzami i poetami niemieckimi należy ocenić jako bardzo udane. Udane przede wszystkim dlatego, że było pozbawione wszelkiego patosu i sztywności urzędowych prezentacji. Można było powiedzieć, że stanowiło ono „roboczą dyskusję”, podczas której porównywaliśmy nasze kłopoty i osiągnięcia z ich trudnościami i sukcesami. Okazuje się, że problemy są niemal analogiczne — te same trudności z dobrą współczesną powieścią (bardzo się zainteresowała naszą pozytywną oceną „Obywateli” Brandysa), brak sztuk świetlicowych dla zespołów amatorskich, mało interesujących książek dla młodzieży, walka ze schematyzmem, duże zainteresowanie formą reportażu. Analogii problemów jest więcej, ale nie wszystko można było omówić z powodu braku czasu i braku zainteresowanych osób, które piszą, tworzą, a również... spędzają urlop w lipcu.

Wydaje mi się zrozumiałe, że Tydzień Kultury Polskiej obchodzony w lipcu, zbiegając się z naszym świętem narodowym 22 lipca ma duże znaczenie symboliczne, zwłaszcza, że w tym czasie organizowane są w NRD akademie i obchody poświęcone Polsce Ludowej, istnieją jednak i negatyw tego terminu — po prostu praktyczna strona wymiany kulturalnej. Czyż nie warto by było zastanowić się nad ewentualnym przesunięciem Tygodnia Kultury Polskiej w NRD na miesiąc wrzesień, kiedy po okresie urlopow rozpoczyna się za Odrą i Nysą nowy rok kulturalny? Czy nie warto wtedy wysłać do NRD większej artystycznej ekipy — nie tylko jednego zespołu amatorskiego, ale dwu czy nawet trzech takich zespołów, kilku muzyków, dobrać bardziej zróżnicowaną pod względem zawodów i zainteresowań delegację polską? Niech jadą chłopcy i robotnicy, naukowcy i literaci, artyści i działacze społeczni — i każdy winien nawiązać za Odrą i Nysą kontakty z ludźmi swego zawodu i swych zainteresowań. Wtedy trafia się bezpośrednio w atmosferę spraw bliskich tym ludziom. Nie przecięć bardziej się łączy z sobą, aniżeli wspólnie zainteresowania i praca.

Poruszając tych kilka spraw formalnych chciałbym zwrócić uwagę i na merytoryczną stronę wymiany kulturalnej. Może warto ją przedyskutować?

## ALEKSANDER ROGALSKI

### KARIERA ZBANKRUTOWANEGO DYPLOMATY

W związku z ogłoszeniem pamiętników Papena, które ukazały się nie tylko w Niemczech zachodnich, ale również w licznych przekładach zagranicznych, osoba jego stała się znową przedmiotem zainteresowania opinii światowej. Pisano o nim również w naszej prasie. Nie sądzę, by temat ten obojętny był dla polskich czytelników. Papen jest przecież katolikiem. Należał do przywódców potężnej niegdyś partii katolickiej. Poprzedził Hitlera jako kanclerz Rzeszy (nie licząc pozbawionego znaczenia intermezza gabinetu gen. Schleichera) w r. 1932. Gdy zaś Hitler (rekomendowany gotarą przez Papena u bożyszczą militariów niemieckich, prezydenta Hindenburga) zdobył władzę — Papen robił wszystko, by jak najbardziej wzmocnić ją w społeczeństwie niemieckim, zwłaszcza zaś, by pozyskać dla niej poparcie w szeregach katolików niemieckich i zagranicznych ośrodkach katolickim.

Gdy dzisiaj szereg poważnych osobistości, instytucji i organizacji katolickich w Niemczech zachodnich usilnie popiera politykę również złośliwą dla narodu niemieckiego i dla świata jak polityka Hitlera, może tylko bardziej jeszcze zakłamać i obłudną, nie może być dla nas rzeczą pozbawioną znaczenia zapoznanie się dokładniej z rolą, jaką odegrał w tych ponurych latach, w których rozstrzygał się los Niemiec i wielu innych narodów, Franz von Papen.

89 proc. wyborców głosowało przeciwko jego rządowi. W dniu 4 czerwca 1932 r. ogłosił Papen oświadczenie rządowe, w którym poddał ostrej krytyce poprzednie rządy a zarazem nakreślił bojowy program własnej polityki. Miała ona polegać na bezwzględnej walce z ruchem postępowym wykorzystując do tego celu żywoty chrześcijańskie, choć nie oszczędził im Papen zarzutu, iż swoją kompromisowością ułatwily komunistom rozkrzewienie się w Niemczech. Skończył się okres systemu wielopartyjnego i socjalizmu państwowego. Nowe państwo opierać się miało zdecydowanie na „niezłomnych” podstawach światopoglądu chrześcijańskiego.

Rozwijał swe myśli w następnych swych oświadczeniach — a było ich co niemiara. Powoływał się na Paha Boga jako na fundament wszelkiego ładu politycznego i na chrześcijaństwo jako na ideologiczne uświęcenie konserwatywnych rządów silnej ręki.

W myśli tak nakreślonych dażeń — przypisując swoim rządom znaczenie przełomowe i opatrnościowe dla Niemiec — zabrał się Papen od razu do zreformowania wychowania i szkolnictwa. Siłował, wierność i obowiązki wobec państwa — to główne pierwiastki, w imię których dokonac się miało przeobrażenie psychiki młodego pokolenia. Podstawy ideologiczne zamierzonej przebudowy szkolnictwa niemieckiego, ujawnione w enuncjacjach rządowych, obudziły liczne sprzeciwy w kołach katolickich. Dostrzegano w nich elementy fałszywostki, obawiano się redukcji osobowości do roli służebnej wobec państwa i nie dowierzano „chrześ-

jańskości” państwa, które nie ukrywało, iż traktuje chrześcijaństwo czysto użytkowo i nie orala poważnie jego absolutnych i obiektywnych wartości.

Jeszcze żywsze sprzeciwy wywołały posunięcia rządu Papena w dziedzinie polityki społecznej. Póśsunęcia te krzywdziły w sposób niezwykle ciężki najbardziej upośledzone warstwy ludności: bezrobotnych, emerytów, inwalidów, wdowy i sieroty. Spośród licznych protestów, jakie poniosły się przeciwko rządowi Papena ze strony oficjalnych koł katolickich Niemiec, zacytujemy tylko „List otwarty”, ogłoszony przez księży działających w związkach katolickich w Niemczech (Germania, nr 288 z dn. 16 paźdz. 1932):

„Nigdy jeszcze lud robotczy nie był przeniknięty tak głębokim niepokojem, takim rozgoryczeniem i fermentem. To napelnia nas największą troską nie tylko o los warstwy robotniczej, ale także o los naszego państwa i o sprawę chrześcijaństwa. Dlatego poczuwamy się do obowiązku przekazania panu naszego stanowczego przekonania, iż na tej drodze nie będzie pan mógł służyć naszej ojczyźnie. Dla przeprowadzenia swego programu gospodarczego poważył się pan na obalenie (...) konstytucji państwa, wszystkich urzędów socjalnych. Czyż pan, panie kanclerzu, nie zdaje sobie z tego sprawy, jakie rozgoryczenie wzrasta wskutek tego w sercach tych warstw ludu i jakie rany zadaje pan sprawiedliwości społecznej? Zapytujemy pana: co się stanie, jeśli niebezpieczna zasada, iż siła idzie przed prawem, że z pomocą bagнетów wszystko da się zrobić, przeniknie do takich warstw ludu, które dotąd jej nie znaly, gdyż wierzyły w siłę idei moralnych i w potęgę prawa. Niech pan zwróci uwagę na ostrzegawcze przykłady historii! Nie wystarczy ciągle podkreślać chrześcijańskości autorytarnego rządu. Grozi to tym cięż-

szymi następstwami, iż w szerokich kołach musi obudzić się podejrzenie, że w ten sposób zasnania się określone cele i interesy. My, jako duszpasterze łękamy się, by kiedyś chrześcijaństwo i Kościół nie musiał odpokutować za to, co zniszczyła fałszywa polityka”.

Terem dla hitlerizmu przygotował Papen również w dziedzinie militarnej. W lipcu doprowadził do podpisania Układu Lozańskiego, który zwalniał Niemcy od spłat reparacyjnych. W dniu 16 września odmówił dalszego uczestniczenia Niemiec w konferencji rozbrojenia w motywyując to nie uwzględnieniem ich równoprawnienia i co najważniejsze przez Brüninga zakaz działalności SA i SS. Jednocześnie ustawa z dnia 13 września 1932 r. usiłował dokonać militarystacji związków młodzieżowych powołując do życia tzw. „Reichskurtarium fur Jugendertichtungung” z generałem E. v. Stulpnaglem jako przewodniczącym.

Krótkotrwałe rządy Papena stanowiły preludium do długotrwałych rządów Hitlera, które rozpoczęły się 30 stycznia 1933. Niemiawie Hitler do partii centrowej, spotydwanołana tym, że współpracowała ona z socjaldemokracją, oszczędziła Papena, przedstawiciela skrajnego skrzydła tego stronnictwa. Mógł nawet Hitler żywić wdzięczność do Papena, gdyby tego rodzaju uczucie nie było mu obce. W każdym razie ofiarował mu w swym gabinecie stanowisko wicekanclerza. Opłaciło się to Hitlerowi wówczas, bo nikt chyba spoza partii nacjonal - socjalistycznej nie oddał mu w krytycznych miesiącach uciążliwej roli jego dyktatury tak wielkiej przystug.

Największą z nich polegała bodaj na przygotowaniu konkordatu Trzeciej Rzeszy ze Stolicą Apostolską. W sprawie tej zaangażował Papen cały swój kunszt dyplomatyczny i

przebiegłość lisa kutego na cztery nogi. Konkordat rzeczywiście doszedł do skutku i to w terminie tak szybkim, że zaskoczył całą opinię światową. Po kilkutygodniowych rozmowach projekt konkordatu wraz z protokołem zamknięcia układów podpisany został w dniu 8 lipca w imieniu Stolicy Apostolskiej przez podsekretarza stanu, ks. kardynała Pallego a w imieniu rządu niemieckiego — przez wicekanclerza von Papena. W dniu 20 lipca na uroczystym posiedzeniu w Watykanie nastąpiło podpisanie konkordatu w obecności podsekretarza stanu przy Stolicy Apostolskiej Pizzardo i Ottaviano oraz dyrektora wydziału kultury w ministerstwie spraw wewnętrznych Rzeszy, dr Buttmana i radcy ambasady niemieckiej przy Stolicy Apostolskiej, dr Kleego.

Z dumą pisali hitlerowcy, że konkordat był „uroczystym uznaniem rewolucji nacjonal-socjalistycznej a zarazem potwierdzeniem wyroku śmierci na partię centrową przez najwyższy autorytet katolicyzmu” (Gerard Rühle, „Das Dritte Reich”, t. 252). To stanowisko podzielał i współautor konkordatu, Papen, przy czym wskazywał na ten motyw, który przyswiewiał również jego poprzedniej działalności: na nienawiść do wszelkich ruchów postępowych, wyrażających się u niego w jednym określeniu: bolszewizm. W czasie manifestacji Stahelmu, w Dreźnie 13 lipca 1933 r., Papen powiedział: „Jeśli Watykan zdecydował się na zawarcie konkordatu z Trzecią Rzeszą kierowaną przez kanclerza Adolfa Hitlera, to w tym uznaniu młodego państwa przez dwuliczną nacjonal - socjalistyczną potęgę Kościoła mieści się jednocześnie uznanie doczesnego faktu przewrótów bolszewizmu, wypłnienia ruchu bezbożniczego, ustanowienie prawdziwie chrześcijańskiego fundamentu dla budowy państwa, dokonywanej przez niemiecki narodowy socjalizm” (Köl-

nische Zeitung, nr 376 z dn. 14 lipca 1933).

Nie ulega wątpliwości, że zarówno sam fakt zawarcia konkordatu z rządem (którego absolutny amoralizm i dążność do wywrócenia elementów podstaw ładu międzynarodowego i wewnętrzne) musiały być już wtedy powszechnie widoczne, jak i poszczególne artykuły konkordatu nakładaly na katolicyzm niemiecki (i tak pozbawiony dostatecznie silnej tradycji wolnościowej) obrot, która w poważnym stopniu osłabi jego zdolności do oporu wobec rychłych ataków reżimu na religijną, integralną substancję Kościoła. Konkordat nie tylko ogromnie wzmocnił pozycję międzynarodową reżimu i ruchu hitlerowskiego, ale wzmocnił go także na terenie kraju. W tym przełomowym momencie historii Niemiec, jaki stanowił rok 1933, katolicy niemieccy, którzy w decydujących wyborach w dniu 15 marca 1933 oddali na Hitlera około 4 milionów głosów, a na zalecane im przez episkopat Centrum tylko 5 i pół miliona, wskutek zawarcia przez Stolicę Apostolską z Trzecią Rzeszą konkordatu, stracili bosole orientacyjną i zaczęli strumieniami całymi wstępować do NSDAP.

Taki bieg rzeczy był rezultatem działalności Papena. Mniejże już znaczenie posiada jego organizacyjna działalność mająca na celu ściślejsze związanie katolików niemieckich z hitleryzmem. Zasluguje ona na przypomnienie z niejednego względu. Przede wszystkim dlatego, że Papen usiłował zaktywizować katolików niemieckich na rzecz hitlerizmu, przedstawiając go jako „rewolucję chrześcijańską”, wymierzoną przeciwko bolszewizmowi.

W dniu 17 marca 1933 r. złożył Papen w Berlinie organizację pod nazwą „Krzyż i Orzeł”. Zadaniem jej miało być „pogłębianie idei chrześcijańsko - konserwatywnych w narodzie niemieckim, wzmacnia-



# HELENKA

**K**IEDY przyjechałam do sanatorium i przydzielono mnie na 15-kę, Helenka już tam była. Powitała mnie długim, badawczym spojrzaniem, które wydało mi się dość niezyczliwe, żeby mnie do niej nastawić od razu niechętnie.

Nie podobała mi się. Było coś w skrzywieniu jej ptasiej twarzy i w nieruchomo zazwyczaj wpatrzonych w jeden punkt ciemnych oczach, co mnie od niej odpychało i napędzało dziwnym lękiem i czymś w rodzaju obrzydzenia. Sprawiała wrażenie jakiegoś złośliwego, mściwego stworzenia.

Bałam się jej. Unikałam starannie zotawiania z nią samą, ale w poniedziałek okazało się, że tylko my dwie leżakujemy w pokoju. Reszta szła na werandę.

Zostałyśmy same. Oddzielała nas tylko wąska przestrzeń między łózkami. Czytając książkę, czułam bez przerwy jej nieruchome oczy na swojej twarzy. Kiedy wreszcie podniosłam głowę, uśmiechnęła się jakimś dziwnym skurczem ust i chudych policzków, który w niczym nie zmienił wyrazu jej oczu. Chciała mówić.

— Ile pani ma lat?  
Okazało się, że jesteśmy w jednym wieku.  
— Jakie zmiany?  
— Drugie płuco zdrowe? — w jej głosie zabrzmiała niechęć i jakby zazdrość.

— Czy dawno...?  
— Jaki przekaz?  
Moje odpowiedzi nie interesowały jej właściwie.

Czekała chwilę, że ja zacznę pytać. Miałam ochotę wrócić do przerwanej lektury, ale czułam, że muszę spojrzeć na swoją sąsiadkę. Patrzyła na mnie znowu nieruchomie, badającymi oczami.

— Ja po obiedzie... — zaczęła jakby zachęcona moim spojrzaniem. Zainteresowałam się.  
Była w Ravensbrück z matką. Dostały się tam po powstaniu.

— Ewakuowana Warszawa. Stałyśmy mi żywo przed oczami zatłoczone „Zelt“ i blok 29, biedne, brudne, obdarto — przez wszystkich popychane i bite, blakające się jak owce kobiety, którym Niemcy zapewnili opiekę. Kobiety, obce wśród obcych. Ravensbrück był dla nich fragmentem.

Helenka z matką po kilku dniach pobytu w obozie pojechały do fabryki amunicji. Nie pamiętała nazwy miejscowości. Było ciężko i głośno. Matka oddawała jej ukradkiem swoje porcje chleba i pomagała córce w pracy. Potem dostały się do Szwecji. Och, tam było dobrze. He-

lenka nie chciała wracać do domu. Ale matkę ciągnęło do Warszawy. O ojcu nie miały żadnych wiadomości, odkaź widziały go ostatni raz w Pruszkowie.

Może już wrócił. Może wrócił ktoś, kto go widział później. Na miejscu łatwiej się czegoś dowiedzieć.

Wróciły na wiosnę 46 r. Ojca nie było. I dotąd nikt nic nie umiał o nim powiedzieć.

Opowiadała spokojnie jak książkę, którą kiedyś czytała, a która teraz już przestała interesować. Jakby tamto wcale nie było ważne. Ożywiła się dopiero przy końcu:

— A „to“ już wtedy się zaczęło. Ja tam nigdy dobrze nie wyglądałam, to kto wiedział? Wszystko przez matkę — dobrze jej — niech się teraz martwi — zakończyła mściwie.

Oburzyłam się. Jak można tak mówić?!

Uniosła się na łóżku i cała zwróciła się w moją stronę:

— A, tak! bo żeby się tak do tej Warszawy nie rwała, to by było wszystko dobrze. W Szwecji był mnie wyleczyli. A tu — co? Ojca i tak nie ma. Mieszkanie w gruzach. Matka handluje i co zarobi? Przy mnie powinna siedzieć, a nie, żebym ja sama... wśród obcych. Nic nie zrobi! Ciągłe trzeba płacić! Taka obsługa!

Mówiła szybko i z taką goryczą, że twarz jej robiła się dziwnie stara. Była nieprzyjemna i obca. Znowu budziła lęk i obrzydzenie. Nie mogłam jej wybaczyć tych słów o matce, ale zaopnowalam.

Przebiegła się „zdrowe“. Chodzą. Ja też długo leżeć nie będę. Będziemy się opiekować...

Znów skurczyła twarz tym swoim uśmiechem i spozrzała na mnie marszcząc nos.

— Co tam! I tak już nie wyzdrowieję! Coraz gorzej ze mną! Taka jestem słaba! To co, że idzie odma, jak już chodzą nie mogę? I ciągle zimno! I temperatura! I jesć nie nie mogę! — Głos jej przeszedł w dzelcinne, bezradne łkanie.

Zrobiło mi się jej żal. Zaczęłam gorąco przekonywać, że nie ma racji. Że po odmie z początku zawsze tak. Że ja też cały miesiąc leżałam z temperaturą, ale potem przeszło. I co ona za głupstwa plecnie? Że mną gorzej, bo prócz gruznicy zapalenie oplotkowej z wysiękiem. O, tyle mam wody — i mogę leżeć tylko na jednym boku, a wierze, że wyzdrowieję.

Przy słowach o wysięku popatrzyła na mnie jakby ucieszona, z zainteresowaniem.

— Nie, ja nie mam wysięku. I mogę leżeć, jak chcę — powiedziała spokojnie. — Myśli pani, że wyzdrowieję? — zapytała wolno, patrząc mi w oczy jak na śledztwie.

Naturalnie. W tym wieku gruźlica nie jest niebezpieczna. Co innego, gdyby miała teraz 18-20 lat. Ale 26? Naturalnie, że wyzdrowieję! Trzeba tylko jeść, dużo jeść.

Patrzyła jeszcze przez chwilę jakby badając, czy mówię prawdę. Z twarzy wolno zniknęło napięcie i zjawiał się wyraz ulgi.

Położyła się na plecach z głową zwróconą w stronę otwartego okna, za którym wolno chwiała się gałęzie sosny. Promienie słońca tańczyły na błyszczącej skórce jabłek, na które Helenka nie miała apetytu.

O pierwszej Władzia przyniosła obiad. Helenka spojrzała na talerz stojący na stoliku zupy i skrzywiła nos z obrzydzeniem.

Władzia złożyła ręce na brzuchu i stanęła na środku pokoju groźna i wyczekująca.

— O, panna Helenka znowu się krzywi. Trzeba jeść, jak się chce wyzdrowieć.

Helenka spojrzała na mnie, westchnęła ciężko i wyciągnęła łyżkę z szufladki. Jadła szybko, z wysiłkiem łykając i nie patrząc w talerz.

Władzia kiwała głową z aprobatą.

— No widzi panna Helenka. Wcale nie takie złe. I czego się było krzywić! Ale panna Helenka tak zawsze! — No, teraz jeszcze ten sznyceł z marchewką.

Helenka nagle położyła łyżkę i gorączkowo zaczęła szukać ręcznika. Schwyciła ją torsje.

Władzia skrzywiła się z odrazą i niosąc ostrożnie w dwóch palcach brudny ręcznik, kłępa półgłosem.

Helenka zmęczona i blade leżała na poduszkach ciężko dysząc.

— Widzi pani — szepnęła wreszcie i zaczęła płakać.

Z jadalni wróciły właśnie pani Loda, Wanda, pani Janina i panna Klara.

— Co się stało! Panno Helenko, czego pani znowu płacze?

Tamte trzy patrzyły na lkającą ze współczuciem, a pani Janina zaczęła przemowę.

— Bo pani ciągle płacze i płacze! A potem temperatura! Tak nie można. Jak się chce wyzdrowieć, to płakać nie wolno. Pani powinna...

— Niechże pani da spokój, pani Janino — widzi pani przecież, że ja to denerwuje — ujęła się za Helenką Wanda.

— Co widzę? Pewnie, że widzę! Jak matka przyjedzie, wszystko powiem. Ze Helenka nic nie je i

ciągle płacze — nie dała za wygrane Janina.

— Niechże pani da spokój, ona jest zmęczona, a pani jeszcze...

— No, pewnie, jak człowiek rozsądnie chce smarkatej pomóc, to zaraz: niechże pani przestanie! Właśnie, że nie przestanę, a matce powiem.

— Może pani kompotu ugotować? Albo herbaty, panno Helenko? — p. Loda zawsze była gotowa nieść pomoc.

Ale Helenka na nic nie miała ochoty.

**K**IEDY znowu zostałyśmy same podczas drugiego werandowania, Helenka od razu zaczęła: — Widzi pani, że nic ze mnie nie będzie. Jak mam jeść, kiedy zaraz torsje? I tak zawsze.

matka może nie mieć czasu, bo przecież musi zrobić, choćby na jabłka dla chorej córki.

— Co mnie to obchodzi? Powinna zawsze przy mnie siedzieć. Ma tylko mnie jedną...

**H**ELENKA dostała dietę. Jadła teraz trzy razy dziennie kleiki i nie miała torsji, ale słabła coraz bardziej. Po kilku dniach zjawily się dawne bóleci żołądkowe, a potem torsje. Helenka plakała ciągle. Zrobiła się nieznosna. Zawsze niezadowolona, skrzywiona i zła. Patrzyła z nienawiścią na Klarę i Wandę, kiedy ubrane szły na spacer. Odpowiadała arogancko pani Janinie. Do mnie nie odzywała się prawie. Całymi godzinami potrafiła leżeć nieruchomo wpatrzona w jeden punkt.

wzdłuż ciała, z pochylonych ramion wyzierało zmęczenie. W oczach czaił się zwierzęcy lęk i miłość do dziecka, miłość, której nie umiała okazać słowami. Przywitały się jakos. niezgrabnie i matka zaczęła wyścigać przywieszono specjalnie.

Helenka marudziła płaczliwym tonem.

— Pociąg przywozila tyle rosolu? Wiesz przecież, że nic jeść nie mogę! I rosolu nie chcę! Winogrona! Zielone! Dlaczego nie czerwone? Nie będę jadła! — A cytryny przywozilas? No, pewnie, ty nigdy nic dostać nie możesz! W Warszawie nie mogła kupić! Możesz do wszystkiego zabrać z powrotem! Nie chcę! Nie będę jadła!

Położyła się obrączona i nadająca. Matka siedziała niezdobywana z rękami bezradnie złożonymi na kolanach.

— Ale przecież... — zaczęła ją łagodnie namawiać, tłumaczyć, zachęcać.

— Nie chcę! Możesz zabrać! Zawsze przywozisz to, na co nie mam ochoty.

Helenka była zła i patrzyła mściwie na zmartwioną twarz matki. — Ty nic nie wiesz, a mnie już nogi puchną. Popatrz tylko! — Wyciągnęła spod kocy spuchnięte stopy. — Umrę, umrę, a ty, ty myślisz tylko o sobie i wcale nie przyjeżdżasz — zaniosła się histerycznym płaczem.

Matka patrzyła z przerażeniem i nagle rzuciła się z krzykiem na płaczącą Helenkę.

— Córeczko kochana, nie mów, nie zostawij mnie samej! Co ja bez ciebie... Mój Boże, Boże! Ja z tobą! Nie zostanę tu sama!

Głos jej pełen bólu i długo wstrzymanej trwogi rozbrzmiewał w ciszy poobiedniej dziwnie przejmująco. Lzy bezradne, niemocne lzy starej kobiety, tak dzielnie walczącej z przeciwnościami życia, zdolne były poruszyć kamienie.

Leżałam nie odychając prawie i modląc się w duchu, żeby już skończyła, że na miły Bóg, dłużej nie mogę. Nie mogę.

Myślałam z nienawiścią o Helence.

I wtedy stała się rzecz niepojęta. Usłyszałam głos Helenki, ale taki, jakiego u niej nigdy nie słyszałam. Mówiła spokojnie i łagodnie, głos jej brzmiał ciepło, tkliwie, czule.

— Ne płacz, mammo, nie trzeba. Nie płacz. To nic, że umrę. To lepiej. Ja chcę umrzeć, przestanę cię męczyć. Nie mów, masz tylko ze mną kłopot, a ja... nawet nie umiem ci się odwdziżyć. Jestem zła. I nie umiem inaczej, nie mogę.

Spozrzałam ukradkiem w jej stronę. Helenka obejmowała matkę ramieniem i głaskała jej siewającą głowę, a twarz jej straciła zwykły wyraz, stała się łagodna i prawie miła.

Przez chwilę nie mówiła nic, a potem:

Ja ciebie kocham, mammo — szepnęła cicho i jakby ze wstydem.



rys. Gabriel Rechowicz

Upewniłam ją, że miałam to samo. Nawet przy kaszlu. I że to nic. Normalna rzecz. Oczywiście przejdzie i wszystko będzie dobrze.

— Tak, ale mnie i żołądek boli...

— To trzeba prosić o dietę. Oczywiście — żołądek. Zaraz, jak tylko przyjdzie pani doktor, trzeba poprosić o dietę.

Ucieszyła się prawie, że to na pewno z żołądka i dziwiła się, że jej to do głowy nie przyszło. Już uspokojona, zaczęła się niecierpliwie, że matki dotąd nie ma.

— A miała na pewno przyjechać. Nie mogłam jej przekonać, że

Nie wiedziałyśmy, co jej mówić i jak pomóc. Wanda zapytała panią doktor i wtedy wiedziałyśmy się, że z Helenką jest źle.

Prawdopodobnie ostatnie stadium. Obydwa płuca, a teraz gruźlica kieszek. Pani doktor ma zawiadomić matkę i poradzić, żeby córkę zabrala do szpitala. Trzeba Helence wzmocnić, że to jej dobrze zrobi. Patrzyłyśmy na siebie z przerażeniem, bardzo zmartwione. Zrobiło nam się wstyd, że ostatnio tyle myślałyśmy jej do zarzucenia, że nas niecierpliwili i że ze wstrętem wychodziliśmy z pokoju podczas jej nieustannych torsji. Teraz było nam jej żal. Pomyślałyśmy, że przecież jest młoda, że życie nie dało jej nic miłego, że mężczy się teraz i że już jej nic nie zostało.

Baliśmy się wrócić do pokoju, żeby z naszych twarzy nie wyczuła prawdy, żeby się nie zaczęła domyślać. Niech o niczym nie wie. Wracałyśmy pojedynczo.

Helenka siedziała właśnie na łóżku i z uwagą oglądała swoje nogi. — O, jakie spuchnięte, wcale pantofli włożyć nie mogę. Teraz to już wiem, że — koniec — wybuchnęła głośnym płaczem.

Nogi rzeczywiście były spuchnięte, ale zaprzeczyłyśmy temu zgodnie i na wysięgi zaczęłyśmy ją przekonwać, że się myli. Nie uwierzyła jednak.

— Wcale pantofli włożyć nie mogę — p wtarzała wśród lez.

— A może to — nerki — zaryzykowałyśmy niewinne kłamstwo.

Pani Loda, panna Klara i Wanda poparły mnie z entuzjazmem. Na pewno nerki.

I Helenka już uspokojona położyła się, zdziwiona, że jej to do głowy nie przyszło. I że trzeba moc do analizy.

Od razu dała się przekonać, że lepiej jej będzie w szpitalu.

— Bo przecież tu leczą płuca, ale nerki, albo żołądek? Tak, trzeba będzie do szpitala. Czy aby miejsce będzie? — przejęła się nowym zmartwieniem.

Matka przyjechała po południu. Zniszczone palto i przydeptane pantofle dzieliły jej wieczne troski codiennej walki o zlotówki, za które kupowała winogrona, cytryny, wino i kury na rosół dla Helenki. Z twarzy i rąk ciężko zwisających

nie świadomości narodowej katolików niemieckich i moralne popieranie budowy przyszłej Rzeszy niemieckiej.

Widocznie „Krzyż i Orzeł“ nie zdobył popularności w społeczeństwie niemieckim, skoro Papen powołał nową organizację kolaborancką, mianowicie „Arbeitsgemeinschaft katholischer Deutscher“ (AKD) — „Wspólnotę pracy katolików niemieckich“.

Zatwierdzona została ona na mocy rozporządzenia zastępcy „Führera“, ministra Rzeszy Rudolfa Hessa z dnia 3 października 1933 r. Rozporządzenie nakazywało m. in. wszystkim instytucjom NSDAP udzielać poparcia „Wspólnoty pracy“. Zadaniem jej miało być „łagodzenie napięć wywołanych przez walkę politycznego katolicyzmu przeciwko ruchowi Hitlera, budowanie pomostu między stanowiskiem chrześcijańskim — konserwatywnym a państwem narodowo-socjalistycznym, wydobycie katolicyzmu niemieckiego z ekskluzywnego życia wyznaniowej mniejszości i pobudzenie Niemców do wyznania katolickiego do bezwzględnie poświęcenia się w ofierze wspólnemu losowi niemieckiemu“.

Alé i ten plód Papena okazał się poroniony. Nie zdołał on pozyskać zaufania kół katolickich. Jedynie tylko arcybiskup Fryburga, Konrad Gröber, udzielił mu poparcia. Nie może nas to dziwić. Gröber był największym zwolennikiem Trzeciej Rzeszy w episkopacie niemieckim. W cząstce wielkiej manifestacji organizacji katolickich w Karlsruhe arcybiskup Gröber (nb. powitany przez katolickich uczestników przez Hitlera) oświadczył, że opowiedział się bez rezerwy za rządem Hitlera, gdyż wie, do czego kanclerz dąży: „do zbudowania państwa niemieckiego na podstawach chrześcijańskich i wyposażonych w siłę moralną“ („Badischer Beobachter“ z dn. 10 października 1933). Organ Papena „Germania“ (z dnia 18 sierpnia 1933 r.) pisał ó po-

stawie arcybiskupa Gröbera: „Jest wielkim szczęściem dla katolickiego ludu niemieckiego, że w tych czasach posiada on przywódców kościelnych, którzy rozumieją tworzącą się rzeczywistość i którzy ją witają z serdecznością nie osłabioną żadnymi zastrzeżeniami“.

Otóż arcybiskup Gröber ogłosił w dniu 19 listopada 1933 r. oświadczenie, w którym „szczerze witał“ założenie organizacji Papena. Mówił on: „Potrzebujemy nie tylko mężów katolickich, którzy równie otwarcie, zdecydowanie i z całkowitym przekonaniem służą nowemu państwu jak Kościołowi, potrzebujemy również ludzi z talentami przywódczymi i daleko sięgającymi wpływami, płynącymi z ich politycznego wyznania wiary i z ich wartości duchowych. AKD nie jest partią ani próbą ożywienia jakiejś zamarłej partii. AKD nie jest też polityczną reprezentacją ludu katolickiego. Chce ona być i powinna być elitą, zaświadcządzającą o użyteczności zdecydowanie katolickiego męża dla nowej Rzeszy, a nawet objawiającą szczególne wartości, jakie leżą właśnie w wierze katolickiej i w katolickim „ludzie w odniesieniu do trwałej chrześcijańskiej obudowy narodu. Dlatego życzyć AKD najlepszego rozwoju“ („Badischer Beobachter“, 21 listopada 1933).

Jednak błogosławieństwo udzielone organizacji Papenowskiej przez arcybiskupa Gröbera nie zapewniło jej długo żywota. W niecały rok, bo dnia 19 września 1934 r. została ona na terenie Rzeszy rozwiązana. Likwidację jej uzasadnił Papen w równie przekonującym i jasnym sposobie jak przedtem uzasadnił jej powstanie.

„Stanowisko państwa narodowo-socjalistycznego do chrześcijańskiego i katolickiego Kościoła zostało nieraz ustami Führera i kanclerza Rzeszy niedwuznacznie przedstawione. Ostatnio podjęto owocne pertraktacje, aby różnice w interpretacji konkordatu usunąć i wiem

na podstawie licznych rozmów odbytych z Führerem, jak bardzo leży mu na sercu zgoda między Kościołem a państwem i partią. Skoro państwo i partia stały się jednym, nie mogą już istnieć dwójki staniczki. Führer przemawia z całym autorytetem swego wysokiego odpowiedzialnego urzędu. Nikt nie poddaje w wątpliwość jego słów, ale też nikt nie ma prawa działania wbrew jego zamiarom. Dlatego też jest jasne, że dzieło zgody wewnętrznej rozwijać się będzie najlepiej pod auspicjami urzędu (tzw. „Abteilung für kulturellen Frieden“) powstały przy kierownictwie NSDAP dnia 14 marca 1934; obj. AR) bezpośrednio dla tych celów podporządkowanego Führerowi. Wszystkim moim współpracownikom w „Wspólnoty pracy“ katolickich Niemców, którzy z całkowitym oddaniem poświęcili się trudnemu zadaniu wzajemnego wyrównania interesów, składam najserdeczniejsze podziękowanie. Poświęcili oni swe siły wielkiemu celowi i nadal niezużycie wraz z wszystkimi ludźmi uczciwie myślącymi będą pracować nad duchowym zespoleniem się naszego narodu, dla szczęśliwej przyszłości Trzeciej Rzeszy na podstawach nieprzemijającego i błogosławionego posłannictwa chrześcijaństwa“ („Germania“ z dn. 21 września 1934).

AKD istniała jeszcze jakiś czas za granicami Rzeszy a to w zagłębiu Saary i w „wolnym mieście“ Gdańsku.

W Saarze oddała ona przysługę Papenowi jako pełnomocnikowi Hitlera na okres plebiscytu. W Gdańsku trudno jej było zapuścić korzenie: spotkała się bowiem z oporem ze strony duchowieństwa z powodu uzurpowania sobie charakteru misji religijnej i twierdzenia jakoby narodowy socjalizm nie zagroził religii katolickiej, prowadzenie walki z organizacjami katolickimi w Gdańsku, Ostateczny los

jej przypięcował dekret biskupa gdańskiego O'Rourkego, zabraniając czytania organu AKD, miesiecznika „Der katholische Deutsche“ i innych jej publikacji, ponieważ zawierały one poglądy sprzeczne z nauką Kościoła (27 marca 1933 r. — „Danziger Volkszeitung“ z dn. 2 kwietnia 1935).

**P**APEN nie jest postacią, która by budziła głębsze zainteresowanie historyka czy biografa. Pozbawiony jest bowiem jakiegokolwiek konsystencji duchowej; uosabia pustkę grajca. I może nie jest całkowicie przypadkiem, że właśnie Papen przygotował grunt dla tej wielkiej inwazji pustki i nicości, jaka zaala Niemcy wraz z hitleryzmem. Podjęte przez niego wysiłki w celu zdobycia przychylności świata katolickiego dla hitleryzmu i uwiecznienie tych wysiłków powodzeniem w wypadku konkordatu — skłaniają do refleksji nie pozabawionych elementu aktualności. Integralnie biorąc jako osobowość pozbawiona znaczenia, będąc „próchnem na falę dziejową“, jak go określono w „Zyciu Literackim“ (122-54) — nie jest, niestety, Papen jeszcze zwyczajnym eksponentem z muzeum historycznego, lecz jest wyrazicielem sil, tendencji i dążeń, które są wciąż w części Niemiec żywe. Należą do nich: militarizm, junkierstwo, duch kolonialno-imperialistyczny, żądza odwetu skierowana głównie przeciwko narodom słowiańskim, przeciwko „Wschodowi“. Należy również odziedziczona już po Krzyżakach zdolność do religijnej mistyfikacji agresywnych i antypokojowych dążeń.

W tej mistyfikacji mistrzem nieładą był Franz von Papen. Należy się obawiać, że jego sztuka znajduje w republice bońskiej zbyt wielu cichych i jawnych wielbicieli i naśladowców,

Ks. EUGENIUSZ DĄBROWSKI  
GLOSSY I ODKRYCIA BIBLIJNE  
zł 25,—

A. J. CRONIN  
GWIAZDY PATRZA NA NAS  
trzy tom y  
zł 50,—

Jerzy Liebert  
POEZJE ZBRANE  
cena zł 25,—

Th. Deman O. P.  
CHRYSŁUS PAN I SKRATES  
cena zł 30,—

Sw. Augustyn  
DIALOGI FILOZOFICZNE  
trzy tom y po zł 25,—

Wysyła Biuro Sprzedaży „Pax“  
Warszawa Mikotowska 43 za za  
liczeniem pocztowym lub po  
wplacenie należności na konto  
PKO Warszawa nr 15515/114.  
Przy wpłatach na PKO prosimy  
dołączać zł 3,— na koszt prze-  
syłki.  
Do nabywania we wszystkich skle-  
pach „Veritasu“.



# WIERSZE MŁODYCH

ZBIGNIEW DOLECKI

## MOJA MOWA

Choć dla nas dla ciebie i dla mnie  
groźne są dzieje najtwardsze

Ja pragnę od serca do serca  
drogę otworzyć na przestrzał

Ja sięgnąć pragnę po te słowa  
które Bóg najgłębiej schował

Po które jeszcze nikt nie sięgał  
których moc jest jak przysięga

Mowa moja — nie tęczowych barw  
siedem — lecz psalm z pokornych warg

Lecz obłok co w niebo się wpatrzył  
pod nim latające ptaki

I wzrok twój co słabość mą podparł  
gwiazdy i jezioro w borach

Słów różaniec chmurnych i modrych  
byś miała na czym się modlić.



WOJCIECH GRZYBOWSKI

## SĄD

Pamięci Juliusza i Ethel Rosenbergów

Historia jak strażnik weźmie lampę więzienną do ręki  
I postawi cienie pod kosmiczną ścianą —  
Cienie rozstrzelanych — które dzień zatrze  
Jak ściera sny ginące nad ranem

I nawet wtedy gdy na zawsze szczerbie krok strażnika  
I nigdy już cień kraty nie będzie przekreślał  
Ludzkich oczu i listów pisanych przed świtami

Jeszcze pamięć Wam rzuci  
Pęk czerwonych kwiatów  
I czasem wrogie ręce skrzyżuje nienawiść  
Jak dawniej kraty.

STANISŁAW GROCHOWIAK

## HISTORIA

Dzisiaj,  
o godzinie dziesiątej w nocy  
Ujrzałem w świetle latarni  
Niesamowity widok —  
Oto rozlewni jak chodnik,  
Oto szerocy jak chodnik,  
Nieposkromieni w swej tępotcie mieszczuchy.

I on Jej nie prowadził,  
I Ona nie prowadziła Jego —  
Cały trud tych ciał, jakieś 200 kilo,  
Toczył na smyczy napiętej do kresu  
Malańki i chudy, cierniowaty piesek.

Żal,  
Skowyt,  
Wszystko co było we mnie  
Targnęło się na widok tej grupy.

Jak szli,  
Milczeli,  
Nieprzeniknieni w procesie bezwolnego toczenia,  
O biedni, o żałośni, o niepowtarzalni!

Stałem niemo,  
Tworząc kąt prosty z własnym, długim cieniem.

Kiedy upadnie ten piesek z zielonym jęczyczkim?  
Dokąd zawlecze te ciała?  
Nie więcej, o współcześni, nad jeden kilometr.  
Potem padnie, o współcześni, z jęczyczkim zielonym.

A oni w dęby, w mahonie, w baobaby  
Zmieniają się i straszyć będą  
Dziewczynę biegnącą z sukniemi na wicherze.

## PIEŚŃ

A stoi tam dziewczyna?  
— A stoi...  
Namiętna dziewczyna?  
— Namiętna dziewczyna,  
Łagodna i dzika jak arabski koń.

A burza nadchodzi?  
— Nadchodzi...  
I deszcz ją oblewa dżbanami?  
— I jeszcze zza węgla podkrada się złodziej  
— I chmurę wypija głodnymi wargami.

KONRAD HEL

## KONTRASTY

Czas, których jedyną radością była myśl — przeżyłem,  
w których matki wraz z chodzeniem uczyły ucieczki  
od śmierci, a miłości i nienawiści wspólnie  
były czasami ludzi żywych i umarłych.

Zywi, dla których życie było formą śmierci,  
umarli, dla których śmierć była formą życia,  
podobni do siebie twarzą, oczyma, postaciami  
byli tak bardzo różni i tak niepodobni.

Ludzie, którzy swym życiem zaprzeczali życiu,  
ludzie, którzy swą śmiercią zaprzeczali śmierci —  
po trzykroć zaprzeczając i po trzykroć twierdząc  
dali rzeczywistości trwałe kształt człowieka.

JACEK ŁUKASIEWICZ

## ODPOWIEDŹ

Mówisz, że waham się, odchodzę  
z obranych dróg.  
Łatwo przystanąć, gdy na drodze  
głaz leży u nóg.

Koniec? Nie koniec, lecz początek,  
początek dnia.  
Tkacz, który znów uchwycił wątek  
dokładniej tka.

ANDRZEJ PIOTROWSKI

## NA ŚMIERĆ SZESNASTOLETNIJ ROZSTRZELANEJ W KENII MURZYŃKI

Siostrzo trudna czujnych punktów źrenic  
dumnie oddasz się salwie naga  
celnym ciosem nagłego milczenia  
zdławisz uśmiech mordercom na wargach.

Runie ostra zieleń zwrotników  
na nienawiść broni zawistnej.  
Wspólny dół jak zapowiedź pomnika  
buntowniczo serca zaciśnie.

MAREK SKALIŃSKI

## MATCE

Serdeczny, cichy mrok  
i jasna smuga  
jak zapach pomarańczy...  
... śpij!  
Wszystkie dzieci  
już śpią...

Spójrz  
— deszcz...  
Noc głucha... długa.  
Nigdy nie wychodzi,  
w taką noc.  
Śpij...

Głos matki sny kolorowe  
wyniańczył.

Widzisz mamę —  
poszedłem.  
Była noc i deszcz.  
Mijały wrześnie  
i dni bez wieczora  
Kosmiczny wiał wiatr.  
Rozwiał nas.  
Szarą ścianą  
rósł w przestrzeń  
czas.

Pył z drogi życia  
włosy ci przysypał,  
pagórki lat  
obsadły twarz...

Mamo!



rys. Barbara Jonscher

JÓZEF WITEK

## REFLEKSJE

Wspominam —  
jak pierwsze nasze tajemnice,  
złociutką wstęgę księżycą  
w olszynach —

tam,  
gdzie w miękki puch wieczoru  
zanurzony mój wzrok  
odczytywał z obdartej kory  
datę —  
miejsce i rok...  
Złotymi śladami jesieni  
lub lata  
w płótna mgieł zaplątany  
jak w żagle  
płynę myślami wśród ziemi  
w której zakochany  
od dziecka  
nie umiem jeszcze o niej mówić

WIERSZE młodych... Ba, ale jakich młodych? Młodych wiekiem czy „młodych” jako pisarzy? Bo przecież homo novus w literaturze może być starym koniem. A może młodych osiągnięciami, próbującymi dopiero swoich sił, talentów na dorobku? A może też „młodych” tylko dlatego, że jeszcze nie wydali własnego tomiku i nie posiadają odnotowanej w kartotekach Związku Literatów pozycji bibliograficznej? Zadane z tych kryteriów nie wydaje się absolutnie pewne i zadowalające. Dyskusja nad nimi byłaby z konieczności akademicką dysputą nie prowadzącą do żadnych określonych wyników. Zrezygnujmy więc z teoretycznych uzasadnień tytułu tej kolumny poetyckiej. Zadowolnijmy się faktem, że wszyscy reprezentowani w niej autorowie są ludźmi młodymi, tomików dotąd nie wydali i pisanie wierszy zajmują się od niedawna (jest wśród nich nawet paru debiutantów). Zajmijmy się lepiej samymi utworami.

Nie sądzę, aby celowe było wyszukiwanie wśród nich arcydzieł lub też zabawianie się w poetyckiego totalizatora (Iks o ćwierć iła przed Igrekiem, Zet o dwie długości za nimi ale o trzy przed pozostałą stawką, Ypsilon zaś przyczłapał smętnie na samym końcu). W wojsku łatwo odróżnić kaprala od porucznika, w literaturze amatorzy rozdawania rang trafiają na niemożliwe do przewyżczenia trudności.

Wiersze młodych są raczej zapowiedziami niż dokonaniem i tak też należy je oceniać: pod kątem możliwości rozwojowych, jakie w tych utworach dostrzegamy. Najwięcej trudności nastroją pod tym względem debiuty, gdyż nigdy nie możemy być pewni, czy w ich wypadku nie mamy do czynienia z objawami tzw. ospy poetyckiej, która często mija po bardzo krótkim czasie, choć w swojej fazie ostrej może przynieść parę interesujących zapowiedzi, ale często też przechodzi w stan chroniczny i przemienia się w pospolitą grafomanię. Jeżeli jednak w utworze debiutanta pojawiają się choćby najmniejsze

ślady szlachetnego metalu poezji, warto w ten interes zainwestować trochę miejsca w tygodniku i parę złotych honorarium. Własny utwór czyta się w druku jak cudzy: łatwiej dostrzeżać się jego usterki i niedociągnięcia i łatwiej się wtedy wywołać od nich w dalszej pracy piarskiej. Co będą mieli do powiedzenia w przyszłości najmłodszy z młodych — Dolecki, Grzybowski, Łukasiewicz, Skaliński, Witek? Trudno to przewidzieć. Na razie wiersze ich są jeszcze bardzo „literackie”, wtórne (najbardziej własny ton odnajduję w „Refleksjach” Witeka), ale z tego nie można robić zarzutu młodym autorom. Do oryginalności trzeba się dopracować, zaczyna się natomiast zawsze od chodzenia w ślady takich lub innych mistrzów. Pewne jest dla mnie jedno: ani jeden z tych dorabiających się dopiero własnego stylu poetów nie zabawia się w liryczne zabawkarstwo, w formalistyczne cackanie się ze słowem adresowanym nie do ludzi, lecz do abstrakcyjnego bóstwa Czystej Poezji.

O wylamywaniu się z kręgu kameralnej liryki przeżyć osobistych, o stałym rozszerzaniu tematyki i problematyki, o nieustannym bogaceniu środków wyrazu świadczą wiersze znanych już czytelnikom „Dziś i Jutro” poetów: Grochowiaka, Hela, Piotrowskiego. Wszyscy oni wyzwalają się od pokus banalnej „ładności”, starają się wypowiadać coraz jaśniej i mocniej zagadnienia swego czasu. Obok nich należy postawić Zbigniewa Zalewskiego, poetę, który odzywa się bardzo rzadko, ale z wielkim poczuciem odpowiedzialności za słowo. Nieliczne jego wiersze są już niewątpliwymi dokonaniem. Z surowych, chropawych jego liryków przemawia poeta głębokich przeżyć duchowych. Ci czterej autorowie są poważną nadzieją młodej liryki katolickiej. Ufammy jednak, że i młodszy potrafią dotrzymać im kroku. Dlatego też powstrzymam się tym razem od wszelkich krytycznych złośliwości i uszczypliwości porzastając na sprezentowaniu czytelnikom dziewięciu młodych poetów, poetów naszej nadziei.

STEFAN LICHANŃSKI

Słyszę jak brzęczą kable  
w niżonym locie jesiennych godzin  
i nie trudno mi złowić  
wspomniany akord, gdy się rodzi  
na oczach tyłu  
czas nowy.

Wspominam i myślę:  
wszystko już w innym stylu,  
i nawet ton nowy  
w ustach mojej dziewczyny  
gdy cicho wspomina  
wieczór, księżyc i olszyny.

ZBIGNIEW ZALEWSKI

## W KOŚCIELE

W spokój co chłodzi skronie,  
W sklepienie ciche,  
Uderzył łoskot rusztowań:  
Jazgotem wdzwoniły się kola —  
Chciałem już wyjść  
Z gwarne kościoła...  
Przed drzwiami,  
Furman zmęczone czoło pochylał,  
Na wóz i konie popatrzył —  
I świeże deski krzyżem naznaczył.  
Z uśmiechem patrzyłem za nim —  
Nim kurant trzeci kwadrans wdzwonił,  
Wróciłem do wnętrza...  
I tak się kościół kielnią rozdzwonił,  
W oczach rozjaśnił, w sercu wypiękniał...  
Ktoś wzrok swój przeniósł z ołtarza  
Ku mojej twarzy —  
Potem,  
Na chwilę, jak blaskiem świecy,  
Swą ludzką twarzą  
Obraz dzieciątka oświetlił  
W mrocznym witrażu...  
I odszedł,  
U wielkich drzwi przykleknął i czekał —  
Pełen szukania Boga,  
U stóp człowieka.

## ŻONIE MOJEJ

Gorącym, obmyta deszczem wiosny  
wyrastasz z ciszy — synka kwileniem.

Mych warg błędzący ogień  
na jego główkę przeniosłaś  
tak zrecznie,  
że stał się światłem spokojnym,  
na drodze odnalezioną miłości —  
na której — obrzyłem — stawiam nieśmiało kroki.

Noce — są tylko dni cieniem.  
Dni moje...  
Co się wyklęły z ziemi,  
zielonym kielkiem.



# SPRAWY JEDNEJ KAMIENICY

Spektakl teatralny przeniósł nas z miasta rozbrzmiewającego pieśnią, śmiechem i muzyką w głąb okupacyjnej nocy, w której dopiero budziły się pierwsze zwiastuny lubelskiego lipca...? Znaleźliśmy się w Warszawie, u progu strasznego roku 1943, w kamienicy przy ul. Twardej 22, gdzie — jak wiadomo — miało miejsce historyczne posiedzenie Krajowej Rady Narodowej pod przewodnictwem Bolesława Bieruta. W kamienicy, gdzie mieszkali również inni ludzie, nieświadomi znaczenia dokonujących się przez ścianę zdarzeń. Cóż za kapitalny pomysł! Niesie już ze sobą gotowe zawężenie dramatyczne, pozwala wydobyc ogólny sens czasu poprzez linie wznoszących się i opadających krzywych losów ludzkich. Dał autorowi możliwość pokazania szerokiej galerii postaci; tych, którzy odchodzą nieświadomie, skazani przez historię i tych, którzy walczą z zatapiającą ich fałszywą świadomością siebie równocześnie konieczność jej nadejścia...

Powstał więc dramat Jana Korbuta i jego domu oraz całego kręgu ludzi z nim związanych. Tragikomedie rotmistrza Łady, mianowanego wojewodą wołyńskim przez „rząd“ londyński w chwili, gdy wojska radzieckie przekraczały dawną polską granicę... Dezorientacja złotej młodzieży mieszczańskiej reprezentowanej przez weselęgo p. Gucia... Łącznikiem, który spoi mieszkanie Korbuta z mieszkaniem w oficynie, gdzie ma odbyć się historyczne posiedzenie, będą w ostatnim akcie kucharka Antosiowa i jej siostrzeniec Sowa, obarczony misją strażnika kamienicy, wreszcie córka Korbuta, Monika. Lecz im głębiej wchodzimy w klimat, problematykę, życie tego domu — tym większe wstają obawy. Autor nakreślił sylwetkę bohatera bardzo szerokim i śmiałym gestem pióra pasując ją na postać tragiczną nie tyle jakiegoś formatu. Bo — postuchajcie — Jan Korbut to nie tylko skromny urzędnik magistratu, dawny „legun“, który nie doszedł do większego stanowiska, gdyż nie umiał plaszczyć się tam, gdzie „trzeba było“. To również kochanek o gorącym sercu — wojażując aż do Gniezna w pogoni za żoną oficerką, panią Klarą i dzięki temu sprawca rozbicia domu, ucieczki własnej żony, bezkierunkowego wychowania córki. („Zmarł na własne ręce, a teraz mnie chesz zmarnować“ — stwierdza Monika). Ale oprócz tamtych namietności — Korbut kocha również swojego syna, Władysława. Nie widzimy go na scenie, gdyż w akcji został ujęty przez Gestapo z bronią w ręku; jeszcze przed podniesieniem kurtyny. Obecnie jedynym celem życia Korbuta staje się wyrwanie syna z rąk oprawców za

każdą cenę. Pomiędzy aktem pierwszym a drugim — nieszczęśliwy ojciec dowiaduje się o rozstrzelaniu swego syna na Pawiaku, ale nie daje wiary tej wiadomości. Sprzedaje wszystkie meble na opłacenie ludzi, którzy rzekomo mają wpływy w Gestapo, zgadza się (nie bez walk, oczywiście) na hańbiącą propozycję udziału córki w kolacji z Hitlerowcem von Lippe, wreszcie wydaje szpiegowi nazwisko kolegi swego syna, lewicowego bojownika Adama. I to w imię mniej niż cienia nadziei! Wykorzystując jego



Aleksander Aleksy w roli Jana Korbuta (siedzący) i Lechosław Litwiński jako Bruk.

rozpacz nachodzą go nieustannie hiemy i kanale różnego autoramentu, tacy jak Hrabina lub Bruk, przedstawiciel antykomunistycznej organizacji „Antyk“ — pragnący wyłudzić od niego pieniądze lub zaangażować jego dobrze brzmiące nazwisko w określoną akcję polityczną. I równoległe z tymi perypetiami w świadomości Korbuta następuje proces uprzytamniania sobie prawdy, że on i jego koleżdy należą do klasy nieodwołalnie przegranej, która zejść musi z widowni dziejowej. W ostatnim akcie widzimy go pod pantoflem dawnej ko-

chanki Klary. Pomiędzy aktem drugim a czwartym córka ucieka do podziemia, a ojciec nawet nie interesuje się miejscem jej pobytu. Tak oto z grubszą rysuje się schemat tej postaci.

Nie trzeba być w teatrze i oglądać tę sztukę, aby pojąć jak wielki sztuka i doświadczenie pisarskie jest niezbędne dla stworzenia człowieka o tak nierównym profilu moralnym, działającego na zasadzie wielu sprzecznych intencji. Człowieka, którego małości, odruchy godne całkowitego potępienia stapiają się

w oczyszczającym ogniu cierpienia, tłumaczą się nateżeniem bólu. Literatura dramatyczna zna takie kreacje. Wierzymy w sceniczną prawdziwość Orestesa mordującego własną matkę, rozumiemy dzięki geniuszowi Lermontowa motyw działania Arbieńina, który mimo iż kocha — truje żonę działającą w pełni świadomości. Potrzeba wielkiego talentu, abyśmy uwierzyli w ojców zgadzających się na każdą moralną cenę jedynie dla potwierdzenia wiadomości o śmierci syna. W takim rysunku każdy ruch piórem musi być nieomylny, ani jed-

nego zbytecznego słowa. Czy Korcelli temu podolał? Niestety, nie całkowicie. Są partie sztuki, w których postać ojca zdaje się osiągać wyżynę tragizmu, jest jednolita, skupiona, późniejszy jednak rozlał się, rozpraszając, wreszcie opuścił scenę bez właściwego, decydującego akcentu, który wyrażałby kompletne osamotnienie tego człowieka i jego całkowitą, życiową przegraną. Starcie z Klarą — zdaje mi się — nie wystarczyło.

Sztuka Korcella jest zdecydowanie przegadana i przeplakana. O pierwsze; wadzie można przekonać się spoglądając na zegarek w czasie przedstawienia. Zaczyna się sążnistym monologiem Antosiowej, która szeroko opowiada o tym, czego i tak dowiedzieliśmy się z akcji. Ale rekord pobili niewątpliwie rozmowa Korbuta z Brukiem w drugim akcie, która absolutnie i wbrew nadziejom widowni nie chciała się skończyć. Ludzie w „Domu na Twardej“ mówią zbyt dużo, rozpraszają nastrój. Korzystnie dlatego odcina się zwarty epizod z Klarą w pierwszym akcie i z Hrabinią w drugim. Sztuka jest przeplakana — ponieważ kobiece zawodzenie rozlega się w niej przez trzy akty, a jak wiadomo największe wrażenie w teatrze robi cierpienie nie wyrażane ani jedną łzą. Chociaż o to należy mieć pretensję przede wszystkim do reżysera. Jest wreszcie nieco „przechytrzone“ konstrukcyjne. Autor pospłatał, powiązał misternie wątki — w pierwszym akcie kazał objawiać się postaciom na scenie — w akcie ściśle obliczonych momentach, jak duchom na seansie. Robiło to nieco sztuczne wrażenie jakiegoś nieogarnianego pracującego mechanizmu...

Teatr lubelski bardzo starannie wystawił sztukę Korcella. Reżyser (Jerzy Ukleja) włożył wiele wysiłku, a ostatni akt jest jego niewątpliwym sukcesem. Dekoracje Torończyka ze szczytem oficyny zamiast sufitu — bardzo dobrze pomyslane. Duże wrażenie robiła luna rozpalająca się w głębi sceny jako tło akcji w mieszkaniu Korbuta. Kierownik literacki (Maria Bechcysz-Rudnicka) sprawnie współdziałała z reżyserem, a program przedstawienia został świetnie opracowany. (Nie można tego powiedzieć o wszystkich programach warszawskich). Mówiąc o aktorach musimy przede wszystkim zająć się odwołaniem roli Korbuta — Aleksandrem Aleksym. Pamiętam go z ról komicznych; tutaj nagle okazał się niemal tragicznym. Jego postać, surową, skupioną grą można porównać z grą Adwentowicza. Doskonała charakterystyczna mimika, ruchy rąk, przeżycie roli składają się na świetną całość. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że Aleksy „trzymał“ cały spektakl swoją osobą. Sylwetkę Moniki nakreślił Korcelli dosyć banalnie. Odwieczny to konflikt: córka z dobrego domu depcząca święte zasady i konwenanse rodziny zwraca swe uczucia ku dzielnemu rewolucjonście z niższej sfery („...nie wiem, nie rozumiem, co mnie owoce dnia ku panu podciągnęło...“) toczy z sobą walki wewnętrzne, a wreszcie — po śmierci ukochanego — wybiera jego drogę działania. Jadwiga Grossman — niestety — nie dopomogła autorowi. Grała sztucznie, ostro, nieprzyjemnie, nie zbliżała do nas tej postaci. Adam - lewicowiec (Zbigniew Adam) również był mało interesujący, a podkreślenie „niższości“ jego pochodzenia trudności wymowy i znalezienia odpowiednich wyrazów — to chwyt aż nazbyt użyty. Doskonałe są natomiast inne osoby. Jolanta Skubniewska z wielką precyzją odtworzyła Klarę, prowincjonalną uwodzicielkę. Wspominał bym Kazimierz Iwiński jako niedoszły wojewoda wołyński, Łada, oraz Maria Górecka w roli Hrabiny.

Po napisaniu tej recenzji odczuwałem wyrzut sumienia, że wypowiedziałem kilka gorzkich uwag pod adresem tej sztuki, niewątpliwie jednej z lepszych, jakie widziałem ostatnio. Ale równocześnie pocieszyła mnie myśl, że konieczność dokonania dokładnej analizy jest dowodem jej bogactwa myślowego i artystycznego. Istotnie, „Dom na Twardej“ nasuwa wiele refleksji i spostrzeżeń, a równocześnie wznusza zbliżając nas do surowych w swej grozie dni u progu naszego Dziesięciolecia.

Nie wojna, a tylko pokój i twórczy wysiłek milionowych mas stwarzają coraz większy dobrobyt, coraz radośniejsze życie na ziemi... Taka jest nieczym niezbita wymowa faktów, dokumentów i symboli Centralnej Wystawy Rolniczej w Zamku i na Podzamczu w Lublinie — taka jest prawda naszego pięćdziesiątka!

Józef Majkut

# Poznań muzyczny

MÓWIĄC o zdobycach muzycznych Poznania myślimy zwykle o operze. Indywidualne i zbiorowe sukcesy członków zespołu profesora Bierdiajewa, występy zagranicę, nagrody państwowe — oraz idące za tym uznanie i sława — przystają do działalności i osiągnięcia innych instytucji muzycznych miasta pozostawiając im jedynie lokalne znaczenie. „Jedziesz do Poznania, to idź do opery“ — zwykło się mówić, traktując tę godnie rozwijającą się placówkę jako największą atrakcję miasta.

Nie unikając ile w tym stanowisku jest szczerą admiracją a ile zwykłego snobizmu, nie uszczuplając nie a nie ze słusznego rozgłosu zespołu operowego, trzeba jednak uzupełnić nieco radę, w jaką zaopatruje się wyjeżdżającego do Poznania turystę.

Malo jest miast w Polsce, w których popularność muzyki o bardziej skomplikowanych formach i środkach osiągnęłaby równy Poznaniowi stopień. Malo jest ośrodków kulturalnych mogących pochwalić się podobnymi osiągnięciami w akcji upowszechniania i popularyzowania sztuki.

Poznań — miasto ludzi spokojnych, drobnych spraw i cichego życia rodzinnego — nosi w sobie kult dźwięku niby herbową tarczę. Muzyka wplata się w życie człowieka od najmłodszych jego lat po pogrzebowe requiem. Rozumiana, ceniona, pielęgnowana — zdobywa przez pokolenia coraz to większy krąg wyznawców, stając się ich chlebem duchowym, potrzebą. O Feliksie Nowowiejskim mówi się tu ciepło „nasz Nowowiejski“, jakby wielotysięczne miasto wypilo z kompozytorem „bruderschaft“.

Filharmonia na swych koncertach rejestruje zwykle komplet publiczności, przy czym skład społeczny tej publiczności jest bardzo różny. Ostatnio przeprowadzona ankieta wykazała, że stałym bywalcem koncertów Filharmonii jest nie tylko słuchacz zawodowo uprawiający muzykę, nie tylko przedstawiciel świata intelektualnego, ale także robotnik, rzemieślnik czy sprzedawca sklepowy, mający do muzyki amatorskie zamiłowanie.

Patrząc na to zagadnienie od strony warszawskiej deski koncertowej — ciągle jeszcze nie uwolnionej od elitaryzmu i braku zainteresowania miejskich sfer robotniczych — widzimy, że w drodze do upowszechniania muzyki Poznań zrobił znaczny krok przed Warszawą. Bez specjalnych dociekań wiemy, że próby umuzykalniania szerszych mas mieszkańców stolicy podejmowane przez placówki muzyczne nie przyniosły dotąd oczekiwanych rezultatów. Mimo uprowadzenia rozdzielenych przez zakłady pracy abonamentów na piątki Filharmonii, mimo organizowania koncertów popularnych, audycji, kursów muzycznych — efekt przeprowadzonych akcji jest jeszcze mało widoczny.

Opory wobec trudności językowych muzyki profesjonalnej, niechęć do Bacha, Webera czy Haydna, sonaty, symfonii, czy kwartetu nie dowodzą zresztą braku muzikalności u wszystkich ignorujących tego rodzaju twórczość. Być może, a rozumiemy muzykę to bardzo różne sprawy. Mierzenie stopnia muzikalności miarą zainteresowań dalekie jest prawdziwe, tak jak i podporządkowanie zainteresowań muzycznych poziomowi intelektualnemu słuchacza. Jasne jest, że doktor nauk matematycznych może być ignorantem w dziedzinie muzyki, może nie znajdować w niej poszukiwanych emocji, gdy dla pozostawienia większych potrzeb intelektualnych „prostaka“ muzyka staje się nieraz źródłem głębokich przeżyć. Przynajmniej odczuwania, rozumienia muzyki osiągnąć może każdy odbiorca. Przynajmniej ten jest nie tylko taską dziedziczenia, szczęśliwą kombinacją genów.

Zdobyć go może i „obciążony dziedzicznie“ doktor nauk matematycznych i każdy stroniący od twórczości Liszta, Brahmsa, czy Czajkowskiego, byleby tylko chciał słuchać. Osiłuchanie jest bowiem najpewniejszą drogą do dojrzałości muzycznej. Im dłużej patrzymy na otaczający nas świat, tym jest nam piękniejszy, bliższy, tym trudniej jest się nam z nim rozstać. Im częściej zdecydujemy się na wysłuchanie muzyki o bardziej skomplikowanych środkach wypowiedzi, tym szybciej odkryjemy w niej bogactwo, którego na pewno nie zechcemy już stracić. Wtedy też zainteresowania muzyczne, o które z takim trudem walczy warszawskie placówki kulturalne, wyjdą wreszcie poza żelazny krąg małej grupy stałych bywalców i zawodowych muzyków.

Inaczej nieco wyglądają te problemy w Poznaniu. Długoletnie tradycje muzyczne, specjalne zainteresowanie muzyką kameralną i wokalną oraz idące z tym zamiłowaniem do ich pielęgnowania, stały się najlepszymi sprzymierzeńcami w zdobywaniu słuchacza. Już dziś zagadnienie ignorancji i analfabetyzmu muzycznego straciło na terenie Poznania rację bytu. Mówi o tym nie tylko frekwencja na licznych koncertach i występach, ruch amatorski, czy liczba zespołów kame-

ralnych i wokalnych, ale przede wszystkim skład społeczny wszystkich biorących udział w życiu muzycznym. Przykład Poznania — raz jeszcze potwierdza, że dojrzałość do konsumpcji muzycznej nie musi iść w parze z dyplomem, stanowiskiem czy tytułem naukowym.

Udostępnienie muzyki szerokim rzeszom, przygotowanie ich do poznania się z trudnym językiem ronda czy poematu symfonicznego musi przynieść muzyce tego rodzaju całe zastępy nowych słuchaczy. Poznań ma ich już bardzo dużo. Koncerty symfoniczne, recitale, występy zespołów kameralnych, chórow cieszą się pełną popularnością. Koncerty muzyki kameralnej odbywają się kilka razy w miesiącu. Filharmonia rozporządza specjalną salą do wykonywania utworów kameralnych oraz kilkoma zespołami doskonałych kameralistów. Zespoły te obejmują teren, koncertując w miastach, miasteczkach i wsiach województwa i wszystko to dzieje się o parę selek kilometrów od Warszawy, gdzie koncerty kameralne z reguły przynoszą deficyty kasowe i widoki pustych krzesel w sali...

Podobną do twórczości kameralnej popularnością cieszy się też w Poznaniu wokalistyka. Przy każdym prawie związku czy zakładzie istnieje zespół prowadzony przez rutynowanego chórmistrza. Zespół pieśni i tańca przy Zakładach im. Stalina prowadzi prof. Marian Weight, chór kolejarzy „Hasło“, chórmistrz opery poznańskiej — Wiktor Buchwald, zespół wokalny Spółdzielców — Witold Dorazała. Zespoły śpiewacze powstają przy uczelniach, szkołach, ogniskach. Odbywają się liczne występy, koncerty, konkursy, a doskonały chór chłopięcy i meski, pod dyrekcją Stefana Stuligrósza, odbywa triumfalne tournée po NRD.

Nad całym życiem muzycznym miasta patronuje jednak Państwowa Filharmonia łącząca w swej działalności realizację postulatów ogólnopństwowych z trafną oceną potrzeb terenu. Pracując na obszarze legitymującym się poważnymi wynikami w podniesieniu poziomu muzycznego mieszkańców — prowadzi mądrą politykę rozszerzenia tego procesu na najszersze warstwy. Mając najczęściej do czynienia z odbiorcą przychylnym muzyce profesjonalnej, pogłębia jego wiedzę, kulturę muzyczną, potrzeby. Występuje z cyklami koncertów będących żywą historią twórców i dzieł. Urządza cykl symfonii Czajkowskiego i dzieł symfonicznych Karłowicza, „Historię muzyki chóralnej“ i zbiór najbardziej ulubionych utworów, wybranych przez ogół bywalców i w specjalnie w tym celu rozpisanej ankiecie. Działając w pełnym rozumieniu stojących przed nią zadań — Państwowa Filharmonia Poznańska posiada w osobie dyrektora Zdzisława Słiwieckiego świetnego kierownika i organizatora.

W pełnym obrazie poznańskich stosunków muzycznych nie zabraknie, niestety, i spraw smutnych. Do najsmutniejszych z nich należy sprawa istniejącego przy Filharmonii Studia Dawnej Muzyki Pieśni i Tańca. Składa się ono z orkiestry kameralnej, zespołu baletowego, sekcji dramatycznej i wokalne; placówka ta obejmująca w swym repertuarze najwspanialsze dzieła polskiego Odrodzenia i dawnej muzyki innych narodów, a łączą w ramach jednego koncertu elementy dźwiękowe i ruchowe. Tymczasem — od początku swego istnienia, to jest od roku nadaremnie oczekuje na pomoc finansową. Mimo entuzjastycznej oceny ze strony słuchaczy łącznie z fachowcami — do dziś Studio zdane jest na własną siłę; bezinteresowną pracę grupujących w Filharmonii entuzjastów muzyki dawnej. Czyżby oficjalnie czynnikami wiedzając o wartościach zespołu poznańskiego, o potrzebie tego rodzaju placówki artystycznej odmówiły jej prawa egzystencji? Pewnie jest, że dalsze zniechanie z pomocą finansową odbierze te prawa zespołowi przyczyniającemu się do pięknych osiągnięć miasta sięgającego po godność muzycznej stolicy kraju. Zada bowiem ze strzał wymierzonych ostatnio przez krytykę w stronę poznańskiej twórczości nie dotyczyła tego rodzaju spraw. Bładano nad teatrem, rzeźbą, malarstwem, wolało o literaturę, poezję, satyrę, życie muzyczne miasta pozostało poza sferą krytycznych uwag.

Redaguje Zespół.  
Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartał 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 8-80-11 (15)  
Zamówienie i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wklejodrukowe RSW „Prasa“ w Warszawie, Marszałkowska 3/5 5-B-150093  
Zam. nr 1895

## FAKTY — DOKUMENTY — SYMBOLE

(Dokończenie ze str. 1)

— O, mój tytoń — trzydziści kwintali suchych liści z hektara zebrał... Dokładnie to zebrał na wet 31, ale niech będzie równo!

Co chwilę tu i tam jakiś rozradowany okrzyk i miła świadomość, że jest się uczestnikiem i współtwórcą tych wszystkich bogactw ziemi, tego piękna i dosytu. Zapadają postanowienia: zaszaję, zrobię jeszcze lepiej, w przyszłym roku będą jeszcze lepsze rezultaty...

**PSZENICA FARAONÓW  
NIE JEST JUZ LEGENDA**

**D**ZIAŁ maszyny i narzędzi rolniczych. Ileż pomysłów i ileż możliwości! Chociażby takie plugi z pogłębiaczami i ciągniki. Jak głęboko można orać i spulchnić ziemię... Nie to, co chudą szkapina i byle jakim lemieszem na kawałku drzewa!

Poletka doświadczalne — pawilon nasiennictwa... Wysoko, wysoko wyrósł pod niebo symboliczne żdźbła, a na nich najprawdziwsze, dorodne snopy zbóż: proso, owies, jęczmień, żyto, pszenica.

— Takiej jeszcze nie widziałem, co to za pszenica? — pyta jeden z gospodarzy.

— To jest pszenica wielokłosa — wyjaśnia przewodnik, student Wyższej Szkoły Rolniczej w Lublinie. — Wyrósł już tutaj w tym roku na poletkach doświadczalnych wystawy. Słyszeliście może kiedyś le-

gendę o egipskiej pszenicy faraonów, która miała rodzić siedem kłosów na jednym źdźbłe. Przez tysiące lat nikt temu nie wierzył. Legenda pozostawała legendą. A oto teraz każdy może się przekonać, że taka pszenica istnieje. Jej gąsienicowy kłos jest siedmiokrotnie cięższy od kłosa zwykłej pszenicy plaskiej. Jej wydajność, jak wykazały tegoroczne doświadczenia w puławskim Instytucie Hodowli i Aklimatyzacji Roślin — 100 q z hektara, a więc akurat tyle, jak to przed chwilą słyszeliśmy w dożynkowej piosence...

Wśród zebranych gospodarzy przebiegł szmer podziwu. Ktoś zaczął powątpiewać... Ale oto jeszcze większa sensacja — proso, którego wydajność sięga do 200 q z hektara! Więc jak to...

— Czyżby możliwości hektara były nieograniczone? — pada po chwili pytanie w poradni mierzwińskowej.

Jedna wątpliwość rodzi drugą. Wszystkie wymagają rzeczowej odpowiedzi. Fachowcy, najwybitniejsi agrotechnicy i agrobiolodzy z kilkunastu instytutów odsłaniają przed zdumionymi słuchaczami nieznaną im jeszcze tajemnicę przyrody i prawa nią rządzące. Dyskusja trwa.

Ktoś słyszał gdzieś i powtarza twierdzenie, że jakoby ludzie rosną o wiele szybciej niż środki żywności... Stara to, ale do dziś jeszcze pokutująca wśród wielu kapitalistycznych ekonomistów teoria Mal-

thusa, nawołująca od 200 lat do ograniczenia ilości urodzin. Dziesiąci wyznawcy tej teorii, neomaluzjanie, twierdzą, że jedynym ratunkiem przed katastrofą głodową jest wojna.

Nasza teoria jest inna: każdy człowiek potrafi nie tylko zarobić na siebie, ale stwarza jeszcze dobrą materię dla innych. Dlatego im więcej rąk do pracy, tym więcej nowych fabryk i miast, większa wydajność z hektara, więcej środków żywności, bogatszy i piękniejszy świat...

Czyż nie wystarczającym dowodem jest chociażby nasza dziesięciolecia pokojowa praca i wszystko to, co widzimy na tej wystawie? Czy grozi komukolwiek bezrobocie, czy ktoś cierpi głód? Oto, dlaczego w państwach o ustroju socjalistycznym nie tylko, że nie dały się o ograniczenia urodzin, ale wprost przeciwnie: stwarza ku temu jak najlepsze warunki. Oto, dlaczego w państwach o ustroju socjalistycznym, nikt nie pragnie i nie dąży do wojny, która zawsze niesie śmierć, zniszczenie, zagładę

Nie wojna, a tylko pokój i twórczy wysiłek milionowych mas stwarzają coraz większy dobrobyt, coraz radośniejsze życie na ziemi... Taka jest nieczym niezbita wymowa faktów, dokumentów i symboli Centralnej Wystawy Rolniczej w Zamku i na Podzamczu w Lublinie — taka jest prawda naszego pięćdziesiątka!



